

Ulysses Moore

Mistrz piorunów

Rozdział 1

SZKATUŁKI PRZYGODY

Kamieniczka była wysoka i wąska, w oknach paliły się światła, a furtka z kutego żelaza od ulicy była uchylona. Chmury kryły gwiazdy, nadając niezwykle groźny wygląd stromemu dachowi i owalnemu oknom w mansardzie. Ulica, przy której stał dom, była wybrukowana i zapchana zwartym ciągiem zaparkowanych samochodów. Nieco dalej stał mały protestancki kościółek, potem ulica zbiegała w dół, aż do Tamizy.

Woda w rzece miała kolor asfaltu.

Z błyskiem świateł nadjechała taksówka i zatrzymała się dokładnie przed furtką.

Ktoś uchylił lewe drzwiczki taksówki.

- To na pewno ten adres?

Drzwiczki rozwarły się nieco szerzej i pasażer wyrzwał, rozglądając się dokoła. W tej samej chwili, jakby odpowiadając na wezwanie, jakaś postać wynurzyła się z cienia parkanu i podeszła bliżej.

- Witam pana, doktorze Wojnicz - odezwał się mężczyzna cienkim głosem.

Dłoń opartą na drzwiczkach zdołał okazać złoty pierścień.

-Proszę na mnie poczekać - polecił taksówkarzowi doktor Wojnicz.

Zaczekał, aż witający go otworzy mu szeroko drzwiczki, i wysiadł z taksówki.

Człowiek, który go powitał, zrobił pół kroku do tyłu. Wyciągnął rękę, ale natychmiast ją cofnął, przypomniawszy sobie, że doktor Wojnicz nigdy nikomu ręki nie podawał. Zaczekał, aż Podpalacz włoży na głowę melonik i oprze parasol o ziemię.

- Okropne miejsce - stwierdził doktor Wojnicz, rozglądając się dokoła.

-Naprawdę tak pan uważa? To jedna z willowych dzielnic bardziej...

Parasol podskoczył nagle do góry.

-Phi! Mieszczańska architektura pełna zbytecznych zawijasów! Ozdóbki nie chronią przed deszczem ani przed chłodem. Wejźmy do środka, żeby obejrzeć to bezużyteczne znalezisko...

Postać z mroku poprowadziła mężczyznę przez otwartą furtkę.

- Chodzi o dzieła pana Farrinora... - szepnął witający, pokazując doktorowi Wojniczowi wizytówkę, na której widniało nazwisko:

Hopper Fairinor - Szkatułki Przygody. -

- To znaczy?

- Powiedziałbym, że są interesujące.

I znowu nerwowe machnięcie parasolem.

- Interesujące. To jak wypowiedzenie wojny.

- Sam pan to oceni osobiście, doktorze Wojnicz.

Minąwszy furtkę, mężczyźni przeszli obok latarenki, która oświetlała ogród. Była w kształcie człowieczka w czarnym garniturze, z eleganckim ciemnym krawatem i w meloniku, takim samym jak melonik Malariusza Wojnicza.

-Pan Farrinor oczekuje nas w salonie. Przygotował herbatę...

- Nie pijam herbaty. Tylko napar z rabarbaru.

Dwaj mężczyźni weszli do domu, już nic nie mówiąc. Minęli elegancki hol z pustym wieszakiem i skierowali się do salonu, gdzie pan Farrinor, siedzący dotąd na kanapie, zerwał się natychmiast na równe nogi.

- Pan doktor Wojnicz! - wykrzyknął głosem zdradzającym wzruszenie. - Nigdy nie sądziłem, że będę miał zaszczyt...

Malariusz Wojnicz zdjął melonik i oparł parasol o stoliczek, rozglądając się wokół.

- Niech pan sobie oszczędzi frazesów na powitanie, panie Farrinor. Obaj znamy dobrze powody, dla których tu przyszedłem.

Pan Farrinor był bardzo chudym młodym człowiekiem.

-Oczywiście. Największy krytyk literacki na świecie nie wyrusza w drogę, by usłyszeć komplementy.

- No właśnie. A zatem, gdzie są pańskie dzieła?

- Na stole przed panem - odparł pan Farrinor. - Nazwałem je Szkatułkami Przygody.

Malariusz Wojnicz szturchnął swego towarzysza i złośliwie zachichotał:

- Skromny ten nasz pan Farrinor, czyż nie?

Nie czekając na odpowiedź, zbliżył się do stołu i spojrzał na dziwne przedmioty rozłożone przed sobą. Wyglądały jak książki o rozmaitych wymiarach, tyle że zamiast z papieru były w całości wykonane z drewna. Obrócił w rękach egzemplarz Latającej podróży rodziny Ventosa, podziwiając delikatną fakturę. Drewniana książka otworzyła się z cichym stuknięciem, ukazując wewnątrz zapisane stronicie i ilustracje podobne do starych pocztówek.

-Rozumie pan, doktorze Wojnicz... od papieru do drewna... i od drewna do papieru... coś w rodzaju wędrówki w głąb czasu, do miejsca, gdzie skupia się wyobraźnia. Drewno dla przypomnienia pierwotnej materii pisarskiej, podstawy sztuki opowiadania. Drewno dla ochrony wyobraźni i...

- ...i drewno do rozpalenia wielkiego ognia - zakończył cierpko Malariusz Wojnicz.

Pan Farrinor leciutko drgnął.

- Ach, zapewne, to jasne: drewno do rozpalenia ognia, bez wątpienia, żeby ogrzać serce...

Malariusz Wojnicz zamachał niecierpliwie rękoma.

- Daj pan spokój z tymi wszystkimi bezsensownymi teoriami artystów! Kiedy mówię o ogniu, panie Farrinor, to mówię o ogniu, który spala, który niszczy, co niepotrzebne i pozostawia po sobie piękną górę popiołu! - Spojrzał groźnie na drewniane książki leżące na stole.

- Nie podobają się panu moje Szkatułki Przygody...

- Wprost przeciwnie, panie Farrinor. Uważam je za niezwykle... oryginalne. - Zabębnił palcami po okładce innej książki zatytułowanej Podróżujące miasto. Wziął ją do ręki i otworzył: wewnątrz znajdowały się zapisane strony, kompas i cyrkiel.

- Zwrócił pan uwagę na skrzywienie okładki? - spytał półgłosem pan Farrinor. - Dodałem je, żeby nadać pewnej tajemniczości. No, a kompas przyda się oczywiście tym czytelnikom, którzy zechcą się udać na poszukiwanie „podróżującego miasta”.

Malariusz Wojnicz zamknął gwałtownie okładkę książki z głuchym trzaskiem.

- Dość! - wykrzyknął. - Czy to są jedyne istniejące egzemplarze?

- Tak. Wszystkie są wykonane ręcznie.

- Doskonale. - Doktor Wojnicz zaczął krążyć po salonie, przyglądając się każdemu szczegółowi. - Wydaje mi się, że lubi pan podróżować, panie Farrinor?

- O tak, panie...

Trzeci mężczyzna w salonie znacząco zakaszał.

- Chciałem powiedzieć: doktorze Wojnicz. Kiedy mogę, doktorze Wojnicz. Kiedy tylko mogę.

Malariusz Wojnicz przystanął przed maską afrykańską zawieszoną nad płonącym kominkiem.

- Dogońska - zauważył pan Farrinor.

- Jak pan mówi?

- Maską, którą pan widzi, to rytualna maska afrykańska Dogonów. To lud mieszkający w Afryce Środkowej, który...

Malariusz Wojnicz obrócił się.

- Pan sobie kpi ze mnie, panie Farrinor? Ja nie podróżuję. Nienawidzę podróży. Podróż to niewygoda, podróż

to sytuacje nieprzewidziane. Stracony czas. A ja nie mam czasu do stracenia. Zwłaszcza teraz, kiedy muszę kontrolować takich jak pan. Jest jednak coś, co mnie dziwi, jeśli mam być szczerzy. Pan sobie tego wszystkiego nie wymyślił. W środku tych drewnianych szkatulek są nie tylko... słowa, lecz także przedmioty. Konkretne przedmioty. Pan igra z rzeczywistością.

- Tak właśnie, doktorze Wojnicz! - wykrzyknął pan Farrinor. - Nie mógłbym tego lepiej wyrazić! Ja igram z rzeczywistością. Moją ideą jest przekształcenie opowieści o przygodzie w...

- Pańska idea! Pańska idea! Pan to nazywa ideą? - zapytał wściekły Malariusz Wojnicz.

- Ile ma pan lat, panie Farrinor?

- Skończę dwadzieścia dwa w przyszłym tygodniu.

- No właśnie! I doprawdy sądzi pan, że można mieć jakąś ideę w wieku dwudziestu dwóch lat? Że można... pisać i rzeźbić, i igrać z rzeczywistością... w wieku dwudziestu dwóch lat?

-Ja...

Parasol Malariusza Wojnicza uniósł się, tnąc powietrze, i znalazł się tuż przed nosem pana Farrinora. - Czy wie pan, mój młody przyjacielu, że nie igra się z rzeczywistością?

Parasol opadł. Surowy krytyk sztuki obrócił się na pięcie i złapał za swój melonik, wychodząc szybko z salonu.

- Proszę za mną, panie Farrinor.

- Dokąd chce pan iść?

- Rusz się pan! - zagrział krytyk, wychodząc w wilgotną noc londyńską.

Zatrzymał się jednak na moment i obrócił ku trzeciemu mężczyźnie, który odprowadził go na zewnątrz.

- Przekonywający i straszliwy marzyciel. Wciągnij go na listę Osobistości Niebezpiecznych i zniszcz wszystkie oryginały - powiedział cicho.

Mężczyzna skwapliwie przytaknął.

- To znaczy gazem?

Niebo nad miastem zagrzmiało.

Malariusz Wojnicz spojrzął na chmury poprzecinane błękitnymi błyskami.

- Nie. Lepiej niech to będzie stare, zdrowe uderzenie pioruna.

-Już jestem! - zawołał młody autor, dołączając do nich.

Malariusz Wojnicz poprowadził go do taksówki, która czekała na nich przed domem. Usiedli z tyłu, plecami do ulicy pełnej eleganckich willi.

- Do licha! - zawołał pan Farrinor zaledwie ruszyli. - Zapomniałem kluczy! - Potem zachichotał. - Kiedy się śpieszę, zdarza się, że zostawiam je w domu.

- Pan mieszka sam, panie Farrinor?

- Tak, a dlaczego pan pyta?

- Och, tak tylko, przez ciekawość.

-A propos ciekawości... może mi pan zdradzić, dokąd jedziemy w środku nocy?

- Zna pan Wiliama Turnera, panie Farrinor?

- Malarza?
 - Tak. Sądzę, że zna pan wobec tego również jego wielki obraz Pożar parlamentu}
 - Widziałem go dziesiątki razy.
 - A potrafi mi pan powiedzieć, dlaczego ten pożar wybuchł, panie Farrinor?
 - Nie, zupełnie nie.
- Ponieważ ktoś miał jakąś ideę - odparł Malariusz Wojnicz, krzyżując dziwacznie dłonie na rączce parasola.

Rozdział 2

GORĄCA CZEKOLADA

Taksówka mknęła szybko, gdy tymczasem noc wolno przechodziła w dzień. Rick Banner trzymał nos przyklejony do szyby.

Czuł się jak czerwona rybka przyzwyczajona do pływania w maleńkim akwarium, a niespodziewanie wrzucona do morza.

Morzem w tym wypadku był Londyn, stolica. I wielki dworzec kolejowy. Sznur taksówek czekających na parkingu jak sfera żelaznych zwierząt, ze światłami podobnymi do wielkich oczu. A poza tym wszystkie te ulice i domy, ruch, drapacze chmur, które wystrzelały z nienacką jak dziwaczne pomysły ze szkła i betonu. Oświetlone szyldy nad lokalami.

Osoby podążające w ciemności. Tamiza. Słynna wieża zegarowa.

- O rany - jęknął Rick, opadając na oparcie siedzenia.
 - Nie sądziłem, że Londyn jest taki wielki.
- Nawet wewnątrz taksówki go męczyło: na szybie oddzielającej od szofera były przyłączone numery telefonów, plan miasta, regulamin stowarzyszenia taksówkarzy, karta praw klienta i nawet reklama najlepszej hinduskiej restauracji w stolicy. Natłok informacji.

-Nie robi na tobie wrażenia takie wielkie miasto?

- wybuchnął w końcu.
- Jason, siedzący obok niego, pokręcił głową.

- Nie. Tu wyrosłem.

-I nie tęsknisz za Londynem?

-Trochę, tak... ale nie zamieniłbym Kilmore Cove na Londyn.

- Mówisz serio?
- Chyba tak - odparł Jason i nagle zamilkł.

Młody Covenant odczuwał coś dziwnego. To nie był smutek. Było to coś pośredniego między melancholią z powodu utraty czegoś i dumą, że się należy do czegoś lepszego, do maleńkiego i zarazem nieskończonego świata Kilmore Cove. Nagle powietrze przeszył daleki ryk syren. Pożar, gdzieś w mieście wybuchł pożar.

Rick popatrzył na zegarek.

- Ile się jedzie na lotnisko?
- Ze dwadzieścia minut.
- W porządku - odparł. - Jeśli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, będziemy przed czasem.

- Taa... - mruknął Jason, nasłuchując ryku syreny.

Dwa wozy strażackie zbliżały się do nich z tyłu w błysku migocących, niebieskich i czerwonych, świateł. Taksówkarz zwolnił i zjechał na bok, by umożliwić im przejazd, potem powrócił na swój pas, podczas gdy pulsujące światła gineły wśród ulic miasta.

-Niekawka sprawa - powiedział Rick, myśląc, podobnie jak Jason, o Klubie Podpalaczy.

- Może to tylko jakiś kot na drzewie?

- Albo jakaś starszka, która zatrzasnęła drzwi od zewnątrz.
Roześmiali się, choć żaden z nich nie miał chęci do śmiechu. Obaj tkwili z nosami przyklejonymi do szyby, wypatrując płomieni czy smugi dymu. Ale nic nie zobaczyli. Kiedy dotarli na lotnisko Heathrow, padał drobny deszczyk.

- Mogę zapłacić złotą monetą? - zapytał Jason kierowcę, grzebiąc w plecaku, do którego Nestor zapakował ich wyposażenie Podróżników w Wyobraźni.
Mężczyzna odpowiedział w narzeczu hindusko-angiel-skim. Jason zdecydował, że to nie jest dobry moment do żartów. Wygrzebał z portfela jakieś marne funty, które mu pozostały, i zapłacił za kurs.

- Rachunek poproszę - zwrócił się jeszcze do kierowcy, zanim wysiadł przed wejściem do hali lotów międzynarodowych.
Rick stał przed nim z głową zadartą do góry.

- Masz zamiar tu moknąć czy możemy wejść? - spytał go Jason.
Rick zmrużył oczy od deszczu.

- To samoloty odlatują nawet i w deszcz?
Jason się roześmiał.

- Kurczę, Rick, a co to za deszcz? Jasne, że odlatują.
Rick wydawał się uspokojony. Poprawił sobie plecak na ramionach i poszedł za Jasonem przez szklane drzwi, które bezszelestnie otwarły się na fotokomórkę. Kiedy już wszedł do wielkiej hali portu lotniczego, przystanął i ścisnął przyjaciela za ramię.

- Zanim coś powiem czy zrobię, lepiej, żebyś wiedział, że ja nigdy w życiu nie leciałem samolotem.

- Och, ja też nie!
-I nie masz stracha?
-Nie.

- Szczęściarz z ciebie. Dla mnie to szaleństwo.
- Większe niż egipska Kraina Puntu? Czy ogrody księdza Gianniego?
-E, może nie, ale wszystkie tamte miejsca... to było trochę jak we śnie, prawda? Jakbyśmy zasnęli na pokładzie Metis, żeby się zbudzić... trochę potem. Nie wydawały się takie... realne. A żeby przybyć tu, nie przechodziliśmy przez Wrota Czasu. I... nie mamy ze sobą żadnego zeszytu Ulyssesa Moore'a, który by nam wskazał drogę.

- Wsiedliśmy tylko do lokomotywy z 1974 roku, która całą noc jechała przez Anglię.
- A potem do najzwyczajszej taksówki.
-I dojechaliśmy tu.
Rozejrzeli się dokoła.

- A teraz? - spytał Rick, puszczając w końcu ramię Jasona.

- Nie martw się, wiem dokąd iść. Musimy znaleźć nasz lot na tablicy odlotów, tej tam, widzisz?

- A jaki jest nasz lot?
- Londyn - Tuluza.

Rick przeszukał wszystkie loty wypisane na tablicy odlotów. Po chwili znalazł właściwy. - Check-in 15. Co to znaczy?

- Że musimy podejść z naszymi dokumentami i bagażem do panienki, która urzęduje w okienku numer 15, żeby zaklepać nasz lot.

- Dlaczego? A moglibyśmy nie polecieć?
- Co się z tobą dzieje,- Rick? Nigdy nie słyszałem, żebyś zadawał tyle pytań.

Doszli do niewielkiej kolejki, która ustawiła się przed okienkiem numer 15. Chłopcy wyciągnęli paszporty z plecaków.

- Pokaż, jak wyszedłeś na zdjęciu - poprosił Jason.

Rick popatrzył na dokument.

-Nie ma o czym mówić! Nestor zrobił mi okropne zdjęcie. >

- Do licha, rzeczywiście - potwierdził Jason, zerkając na fotografię.

- Jeśli jest coś, czego nie rozumiem, to dlaczego muszę mieć kawałek papieru, na którym jest napisane, że ja to ja.

Jason ziewnął.

- Wstrzymaj się z tymi pytaniami, Rick. To doprawdy za trudne pytanie jak na czwartą rano.

- Piątą.

-Jest jak jest. Coś ci powiem: zaklepiemy sobie lot i potem poczekamy na Anitę przy wielkiej filiżance gorącej czekolady i pysznym ciachu. Co ty na to?

- Wydaje mi się, że to świetny pomysł.

- Miejmy nadzieję, że przyjmą złote monety - mruknął wesoło Jason.

Rozdział 3

UCIECZKA Z LONDYNU

„Okłamuję swoich rodziców” - pomyślała Anita Bloom, kiedy wraz z ojcem podjeżdżała pod halę odlotów Heath-row. Przez gęstą ścianę deszczu ledwie widziała światła jadących przed nimi samochodów.

-I nie ma jeszcze piątej rano! - burczał ojciec, drapiąc się po nieogolonym policzku i opadając na oparcie siedzenia. - Wyobraź sobie tylko, jaki tu będzie korek za dwie godziny. - Pokręcił głową. - Jeśli to ma być cywilizacja, to znaczy, że to już koniec świata.

Anita nie odpowiedziała. Wiedziała, że jej ojciec lubił mówić do siebie, idąc za własnymi myślami.

Jej się też to niekiedy zdarzało. Ale nie tego ranka.

Gdyby przemówiła, mogłaby powiedzieć masę głupstw.

Była zmęczona i przerażona.

Zmęczona, bo nie spała całą noc. Czuwała z wpatrzonymi w ciemność oczami, leżąc na łóżku w londyńskim mieszkaniu, usiłując oddalić złe myśli. Często zdarzało się jej nie móc zasnąć, gdy wiedziała, że ma do dyspozycji za mało czasu. Kiedy w końcu udało się jej zamknąć oczy, właściwie trzeba było już wstawać.

Była przerażona, ponieważ perspektywa podróży, w którą się udawała bez wiedzy rodziców, pozbawiała ją dosłownie tchu. Zamiast wracać do Wenecji, jak sądzili rodzice, Anita szykowała się do wejścia na pokład samolotu do Tuluzy we Francji.

A tam...

Szur-szur poruszały się wycieraczki po mokrej szybie.

- Jesteśmy prawie na miejscu - oznajmił ojciec. - Chociaż bylibyśmy pewnie prędzej pieszo.

Ktoś włączył klakson.

- Korek i deszcz. Typowy londyński poranek. Wiesz, nie mogę się wprost doczekać, kiedy mi już załatwią to przeniesienie do Wenecji.

- W Wenecji też pada - powiedziała Anita.

- Ale chociaż nie ma korków - uśmiechnął się ojciec.

Zirytowany korkiem wślizgnął się między dwa samochody tak gwałtownie, że Anita aż podskoczyła, a kierowca za nimi się rozzłościł.

Ojciec opuścił szybę, żeby wyciągnąć rękę na znak przeprosin, potem znowu ruszył żółtym tempem.

Żółty kierunkowskaz pulsował, a stojące samochody wyglądały jak stado zwierząt pędzonych na rzeź. Anita przechyliła się, żeby ucałować ojca, wzięła mały bagaż, z którym parę dni temu

przyleciała do Londynu, i położyła go sobie na kolanach. Spojrzała przez szybę na mokry chodnik zalany kałużami i pomyślała, że właściwie wcale jej nie żal, że stąd wyjeżdża. Zadała sobie pytanie, czy w Kilmore Cove też pada i czy chłopcom udało się szczęśliwie dotrzeć do Londynu. Gdyby miała ich nie spotkać na lotnisku, wsiadłaby do samolotu do Wenecji, jak gdyby nigdy nic. Jakby te dwa popołudnia w Kornwalii, w miasteczku, którego nie ma na mapie, były jedynie czymś w rodzaju snu.

Jakby nie miała ze sobą dziennika podróży Mori-ce'a Moreau, ilustratora z minionego stulecia, w którego weneckim domu lubiła przesiadywać i odrabiać lekcje. Tymczasem miała ten dziennik, który jej lekko ciążył, w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Była to mała i lekka książeczka, około dwudziestu kartek, z czego ostatnie cztery całkiem puste.

Nestor wyjaśnił jej, że była to książka przewodnik, jak dotrzeć do Kraju, który umiera. Była to też książka, z której kart pewna kobieta poprosiła Anitę o ratunek.

Ratunek... ale przed czym?

Anita poczuła mrowienie w palcach na wspomnienie strony, na której oparła po raz pierwszy rękę, na tej ra-meczce narysowanej na szesnastej stronie, i posłyszała w sobie głos tej kobiety bez imienia.

- Szczęśliwej drogi - powiedział ojciec, wrywając ją nagle z rozmyślań.

Szur-szur, poruszały się wycieraczki po szybie.

- Dziękuję, tato. A ty nie spóźnij się do pracy.

Ojciec roześmiał się.

- Mam trzy pełne godziny, żeby wrócić do centrum. Nawet korki mi nie przeszkodzą. Pozdrów mamę, jak tylko ją spotkasz. I zaraz zadzwoń, dobrze?

Anita nacisnęła klamkę, kuląc się cała w środku.

- Posłuchaj, tato...

- Słucham?

Tak wiele „nie” przelatywało jej przez głowę, migały jak pulsujące światła. Nie mogła opowiedzieć ojcu, co miała zamiar zrobić. Nie mogła go poinformować o ścieżce za dębem z haczykami w Kilmore Cove. Nie mogła mu wyjaśnić w ciągu kilku minut, że rozmawiała z postaciami z książki i że kulawy ogrodnik obarczył ją zadaniem dotarcia do nieistniejącego kraju ukrytego wśród gór w Pirenejach.

Nie mogła mu przecież wyznać, że była Podróżniczką w Wyobraźni. Podróżniczką, która naprawdę docierała do miejsc, które inni uważali za wyobrażone.

„Wiesz, tato” - powiedziała mu - „potrzebne są dwie rzeczy, żeby dotrzeć do miejsca wyobraźni: przedmiot pochodzący z tego miejsca i przewodnik”.

- Anito? - odezwał się ojciec.

Spojrzała na niego. Przedmiot i przewodnik. Ścisnęła zeszyt w kieszeni płaszcza.

- Tato?

- O co chodzi? Ale mów szybko, bo możesz się spóźnić na samolot.

-Jeśli przypadkiem...

-Jeśli... co przypadkiem?

- Nic. Nieważne. Usłyszemy się niedługo.

Wysiadła, zatrzasnęła drzwiczki i pobiegła w stronę hali odlotów, obficie rozpryskując wokół kałuże

-Rozumiesz chyba, dlaczego symbolem tego miasta jest parasol, a nie palma daktylowa? - zapytał, pięć samochodów dalej, pewien blondyn swojego kędzierzawego brata, który siedział obok niego.

Gęsty drobny deszcz bębnił w dach luksusowego asto-na martina DB7 z 1994 roku, limuzyny braci Nożyców. Uderzał, stukając jak maszyna do pisania.

Kędzierzawy pokręcił głową i powiedział:

-Na szczęście. Byłoby nam trudno ruszyć w drogę z palmą daktylową.

Brat spojrział na niego bardzo zdziwiony. Białe światło z hali odlotów międzynarodowych oświetlało mokry chodnik.

- To był żart?

- Cóż, chyba tak - odparł kędzierzawy, przechylając się na tylne siedzenie, żeby zabrać parasol. - Chcesz, żebym wziął i twój?

- Wiesz, że nienawidzę tego parasola. To przestarzały model.

- Jak sobie życzysz. A zatem moknij. Dziewczyna właśnie wchodzi.

- Nie jest powiedziane, że muszę zmoknąć. Tu nie wolno parkować i któryś z nas musi zostać przy kierownicy.

- A dlaczego to ja mam moknąć?

- Ponieważ ja siedzę przy kierownicy, mój drogi. Teraz biegnij za tą dziewczyną, zanim ci umknie.

Uniesiona przez ludzką falę, Anita ścisnęła komórkę, jakby to było koło ratunkowe.

Przejrzała szybko otrzymane wiadomości i wysłała do swego przyjaciela Tommiego w Wenecji wiadomość, co ma zamiar zrobić.

Nie wracam do Wenecji. Jedziemy do Francji, do Tuluzy, w poszukiwaniu Kraju, który umiera Kryj mnie przed mamą.

Chciałaby napisać też do Jasona i Ricka: Gdzie jesteście? Ale wiedziała, że żaden z chłopców nie ma komórki.

Odszukała swój check-in na lot do Tuluzy. Na szczęście wymieniono już jej bilet i wszystko było w porządku.

Check-in 15.

Dotarła do niego z bijącym szaleńczo sercem. Miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą. „Oto dziewczynka, która uciekła z domu” - mówił jej głos w środku głowy.

- Gdzie jesteście? - powtórzyła Anita, ściskając komórkę. Bała się.

Był to strach, którego nie umiała się pozbyć. Obawa, że zostanie nakryta i że rodzice ją skrzyczą (wiedziała, że to jest nieuniknione i wliczyła to w koszty). Ale czuła też groźniejszy strach, który zrozumiała, kiedy poprzedniego wieczoru poprosiła, żeby ojciec ją podwiózł na Frognał Lane pod numer 23 i kiedy obok bramy wejściowej zobaczyła tabliczkę Klubu Podpalaczy.

Podpalacze.

Grupa osób, o których właściwie nic nie wiedziała, poza tym, że spotykali się oni w londyńskim domu rodziny Moore'ów. W tej samej, sali, która swego czasu gościła Klub Podróżników w Wyobraźni. Anita wiedziała, że to jeden z nich, w Wenecji, próbował ukraść jej i Tommie-mu wskazówki, jak dotrzeć do Kilmore Cove. I że drugi, siedzący na stosie, mówił do nich ze strony w zeszytce.

„Kim jesteś?” - spytał wtedy Jasona.

A wtedy Nestor gwałtownie zamknął książkę.

Ogrodnik z Kilmore Cove wyjaśnił, że Podpalacze pa-

lą wszystko, co im się nie podoba. A teraz, z pewnością, nie podoba się im Kilmore Cove.

Ani zeszyt podróży, który trzymała w kieszeni.

Kiedy tak stała w kolejce do stanowiska numer 15, jej twarz nagle się rozjaśniła. Zobaczyła wysokiego chłopca o potarganych włosach, który chyba sprzeczał się z panią z okienka. Potem usłyszała, o co chodzi i ogarnął ją śmiech.

- Nie mam piętnastu funtów! - wykrzykiwał chłopiec.

To był Jason, strasznie rozzłoszczony. Obok niego stał

Rick, z twarzą czerwoną jak jego włosy. Kolejka za nimi wydłużała się i pasażerowie zniecierpliwieni zaczęli szemrać.

-W czym problem? - spytała Anita kogoś, kto stał przed nią.

- Chyba plecak tego chłopca waży za dużo, ponaddwukrotnie przekracza normę. A on nie ma zamiaru płacić za nadwagę.

Anita uśmiechnęła się.

- Przepuście mnie? To mój kolega i mogę za niego zapłacić.

- Oczywiście. Im szybciej się sprawę załatwi, tym prędzej wszyscy polecimy.

Anita doszła do Jasona i Ricka stojących przed okienkiem. Mimo wczesnej pory okna Jasona były szeroko otwarte i bystre. Rick stał za nim i uśmiechał się pełen zażenowania.

- Nie wyobrażasz sobie, co się stało...

- Wiem o wszystkim! - odparła dziewczynka. - Chodzi o piętnaście funtów, tak? Czy mogę zapłacić kartą?

- Anita! - zaprotestował Jason. - Ależ to złodziejstwo!

Dziewczynka podała hostessie kartę kredytową.

- Mieliście dobrą podróż?

- Tak - uśmiechnął się Rick. - A ty?

- Niezłą. A poza tym... mam nowiny.

- To znaczy?

- Znalazłam siedzibę złych.

- Ooo - odpowiedział Jason.

Załatwili spokojnie wszelkie formalności, oddali bagaże, które odjechały na taśmie, a potem rozdzielili między siebie karty pokładowe.

- Mamy miejsca koło siebie - oznajmiła Anita, sprawdzając bilety.

-Ja chcę siedzieć jak najdalej od okna - powiedział Rick.

-A ja chcę gorącej czekolady - odparował Jason. - I dowiedzieć się, co odkryła Anita.

Kędzierzawy wybiegł z hali odlotów i wszedł do astona martina. Wyjaśnił pokrótce bratu, co tam w środku widział.

- Co oni wiozą w tym plecaku według ciebie? Sztabki złota?

- Nie wiem.

- Cokolwiek to jest, odlatują. I nie wracają do Wenecji.

- Co proponujesz?

- Zaparkujemy samochód w bezpiecznym miejscu.

- I co?

- Zadzwonimy do szefa.

- O tej godzinie możemy go zbudzić!

Kędzierzawy spojrział na zegarek.

- Słyszałeś, żeby on kiedykolwiek spał? Jemu wystarczą trzy godziny w nocy.

- A jak się wstrzelimy akurat w te trzy godziny, kiedy śpi?

Bracia Nożyce posiedzieli chwilę w milczeniu w deszczu bębniącym o dach samochodu.

- Tuluza - mruknął po chwili blondyn, jakby chodziło o tytuł filmu.

- Ziemia heretyków i odkrywców, u stóp Pirenejów.

- Pytanie brzmi: co ta trójka dzieciaków ma zamiar robić w Tuluzie?

- Z jednym plecakiem z nadwagą.

Nie mieli najmniejszego pojęcia. Początkowo ich zadanie było proste: mieli pojechać do Kornwalii, śledzić Anitę Bloom, dowiedzieć się czegoś o tym nudnym miasteczku o nazwie Kilmore Cove i zreferować wszystko szefowi. Nie było mowy o jakichś innych podróżach.

Na dodatek zagranicznych.

- Nigdy nie byliśmy w Pirenejach.

-Wiesz, co to za rozrywka? Góry, kozy, odór gnoju. Wolałbym tysiąc razy kawę na plaży w Biarritz albo lokal z tańczącą Murzynką w Nicei.

- Tak, ale oni lecą do Tuluzy, więc co robimy?

- Wypada nam ruszyć za nimi. Wsiądziemy w ten sam samolot, odkryjemy, jakie mają zamiary, i sporządzimy raport.

Blondyn włączył silnik i ruszył wolno na poszukiwanie parkingu.

Kędzierzawy zachichotał.

-I a nuż wywołamy niechcący jakiś piękny pożar.

-I wtedy wrócimy do domu...

-...cieszyć się zasłużonym odpoczynkiem - przytaknął kędzierzawy.

Rozdział 4

CUDOWNE LEKARSTWO

Julia wierciła się na łóżku. Nie mogła spać i w dodatku bolała ją głowa.

W sypialni panował półmrok, a zegar na komodzie wskazywał piątą pięć.

Ciekawe, czy samolot do Tuluzy już wystartował?

Umęczona wstała z łóżka. Wszystkiemu była winna ta gorączka, która nie chciała jej opuścić.

Dlatego nie mogła z nimi wyjechać. Podeszła do okna i rozsunała zasłony. Niebo miało kolor żółtawy. Morze było wielką płaszczyzną z lekkimi falami. Nie było śladu wiatru. Kolejny napad kaszlu sprawił, że poczuła się tak, jakby w głowie wybuchł jej miliard iskieł.

Julia zatoczyła się do tyłu i padła na łóżko, niemile odczuwając kontakt z rozgrzaną pościelą.

Brakowało jej powietrza. Kiedy myślała, pękała jej głowa, pociła się. Ale nie mogła nie myśleć.

Ciągle o tym samym: że oni udali się w niebezpieczną podróż, a ona nie miała żadnego sposobu, żeby się z nimi porozumieć. Musiała tu tkwić beczynn timer i leczyć tę wstrętą gorączkę.

Dusiła się w pościeli. Przekręciła się - głowa tam, gdzie były nogi - i z krańca łóżka spoglądała na podłogę. Leżały tam dziesiątki książek i pism, które Jason i mama podrzucili jej w nadziei, że to jej pomoże zapełnić czas. Ale Julia nigdy nie przepadała za lekturą i książki leżały rozrzucone w nieładzie z zakładkami na piątej, szóstej, najdalej na dwudziestej stronie, kiedy już dokonała prawdziwego wysiłku czytelniczego.

Julia była osobą aktywną. Nie lubiła tkwić zamknięta w pokoju i zagłębiać się w lekturze. A teraz chciała wyjść!

I nagle uznała, że ma tego dosyć. Tym bardziej że przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Wstała i podeszła do starej wybrzuszonej szafy w drugim końcu pokoju. Przekręciła zamek z osiemnastego wieku i spróbowała uchylić drzwi szafy tak, żeby nie zaskrzypiały.

Zdusiła w gardle kolejny atak kaszlu i wybrała strój sportowy. Parę dzinsów, czarną bawełnianą bluzeczkę, nie za gruby sweter. Wzięła parę skarpet w biało-czerwone pa-seczki, swoje ulubione pantofle baleriny i trzymając to wszystko w ręce, wyszła z sypialni.

Przebiegła korytarz na drugim piętrze po ciemku, poruszając się na paluszkach. Weszła do marmurowej łazienki, postawiła czerwone pantofelki na stopniu biegnącym dokoła wanny i otworzyła szafkę z lekarstwami.

Uważając, żeby zachowywać się cichutko, zaczęła przeglądać dziwne opakowania o niejasnych nazwach w poszukiwaniu czegoś, co by jej pozwoliło pozbyć się raz na zawsze gorączki. Rodzice bowiem byli nieustępliwi i dotąd kurowali ją tylko za pomocą środków naturalnych.

W końcu odnalazła zielone opakowanie z aspiryną. Wiedziała, że nie należy jej zażywać na pusty żołądek; otworzyła więc pudełko, wyjęła z niego dwie okrągłe tabletki, wsunęła je do kieszeni, odstawiła pudełko na miejsce, zamknęła szafkę, podniosła pantofle i wyszła z łazienki.

Wiszące nad schodami portrety przodków Ulyssesa Moore'a spoglądały na nią w milczeniu.

Julia wolno zeszła po schodach, czując w palcach stóp chłód przenikający przez skarpety. Od kamiennych stopni zawsze ciągnęło chłodem.

Jakiś lekki przeciąg ciągnął od wieżyczki aż do drzwi pokoju na parterze, tego pokoju o ceglanym sklepieniu i kamiennych ścianach. Zeszła na sam dół i skierowała się do kuchni, przechodząc przez pokoje, w których pośród

mroku cichutko oddychały liczne przedmioty nagromadzone w Willi Argo.

Kuchnia była opustoszała i cicha. Julia otworzyła drzwiczki lodówki, sprawdziła pobieżnie jej zawartość, wyciągnęła opakowanie z szynką i otworzyła kredens w poszukiwaniu kawałka chleba. Postawiła na ogniu czajnik i zaczęła jeść, nie czekając, aż się zagotuje woda.

W sąsiednim pokoju podniósł się z fotela mężczyzna.

Julia nie przestała jeść. Znieruchomiała na swoim stołku z poduszką w czerwono-białą kratkę i ograniczyła się tylko do rzucenia okiem.

W drzwiach pojawił się Nestor, kulejąc.

- Nie powinno cię tu być - odezwała się Julia, połykając szynkę, którą jej aktualny zmysł smaku odbierał jak masę z polistyrenu. - Jak moi by się zorientowali...

Nestor przeciągnął ręką po białych włosach.

- Nie zorientują się. Słyszę was, jak schodzicie po schodach. I mam dosyć czasu, żeby zniknąć.

- Ale to nie jest zbyt uprzejmie - ciągnęła Julia. - Ostatecznie teraz dom należy do nich. Na to stary ogrodnik wskazał fotel w jadalni obok kuchni. Miękki i okrągły, o szerokich poręczach, obity kwiecistą tkaniną z Devonshire. Bardzo wygodny.

- Na tym fotelu spędziłem większą część swojego życia, Julio.

Czajnik zaczął gwizdać.

- To wynieś go sobie do swojego domku. Nie sędzę, żeby mama miała coś przeciwko temu.

- Na tym fotelu, w tym pokoju spędziłem większą część swojego życia. Nie możesz tego tak łatwo odmienić.

Julia się roześmiała.

- A ty nie znosisz odmiany, prawda?

Roześmiała się, ponieważ przypomniała sobie, jak to było na początku, zaraz potem, jak się sprowadzili do Willi Argo, kiedy jej mama próbowała oswoić się z tym domem, przestawiając meble po swojemu. Jakiś obraz przewiesiła na inne miejsce, nad schodami zamieniła wielkie lustro na mniejsze, ustawiła jakiś nowoczesny, ale wygodny, niewielki fotelik. Ale nic z tych zmian nie trwało długo. Meble przestawiane za dnia, nocą powracały na swoje stare miejsce, jakby same z siebie. Nowe meble dziwnie się łamały. Wazony spadały na ziemię. Architekt wnętrz, który miał za zadanie pomóc rodzicom w urządzeniu domu, po kilku nieudanych próbach unowocześnienia zrezygnował i powrócił do znacznie mniej odpornej stolicy. I wszystko pozostało po starym.

„Duchy” - stwierdził ojciec Julii. „W tym domu są duchy. To dlatego tak niewiele kosztował”. Tymczasem sprawcą niezmienności Willi Argo był ogrodnik, jej dawny właściciel, który co noc wchodził

do swego starego domu i jak dobry gospodarz cierpiący na bezsenność spędzał tu parę godzin w spokoju i pod sztandarami minionego czasu.

Prawdziwy strażnik marzeń, w gruncie rzeczy.

- Herbaty?

- A może i tak.

Bez pytania go o to Julia wybrała dla Nestora jedyną nadtłuczoną filiżankę. To była ta, której używał od dziecka, jego własna.

- Nie chce ci się spać? - spytała dziewczynka.

- Starzy śpią mało - odparł Nestor. - Za dużo myśli kołacze się po głowie... i kłopotów.

- Myślisz o ich podróży?
- Tak. To mi się wcale nie podoba. Zwłaszcza że nie możemy wiedzieć, co się z nimi dzieje.
- Co do tego, to się mylisz - odpowiedziała Julia z chytrą minką. - Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.
- Pomysł?
- Właśnie. Zeszyt Morice'a Moreau to jest taka specjalna książka okno, prawda? Bardzo specjalna książka, poprzez którą można się... komunikować.
- No tak - odparł Nestor.
- A ty mówiłeś, że w bibliotece Willi Argo był jej jeden egzemplarz?
- Tak, ale już go nie znajduję - westchnął Nestor. - Nawet jeśli domyślam się, co ci chodzi po głowie.
- Gdybyśmy znaleźli zeszyt, moglibyśmy „rozmawiać” z chłopcami i z Anitą, kiedy oni otworzą swój egzemplarz.
Nestor przytaknął.
- Dobry pomysł.
Julia uśmiechnęła się mimo bólu głowy.
Nestor spojrział na zegarek.
- Wkrótce muszę iść do centrali telefonicznej, żeby odpowiedzieć, kiedy twoi rodzice zadzwonią do szkoły z pytaniami na temat tej wycieczki szkolnej, takiej... nieprzewidzianej. Dla usprawiedliwienia nieobecności Jasona i Ricka w szkole postanowili wymyślić, że szkoła nagle zorganizowała wycieczkę do Londynu.
- Pójdę z tobą - powiedziała Julia.
- Nawet o tym nie myśl. Zostaniesz w domu i zaczekasz, aż ci ustąpi gorączka.
Julia zamachała mu aspiryną przed nosem.
- Ani mi się śni. Ruszam na poszukiwanie zeszytu.
- Nie uważam tego za dobry pomysł - odpowiedział Nestor, patrząc na aspirynę i popijając swoją herbatę. - Lekarstwa nie usuwają choroby, tylko trochę łagodzą objawy.
- Masz jakiś lepszy pomysł?
Nestor rozważał jej pytanie.
- Może i mam. Ale nie jestem pewien, czy powód jest wystarczający...

- Nie jest wystarczający? Nestorze! Ja nie chcę tak czekać. Sprawy się toczą, oni są nie wiadomo gdzie. Zniknął zeszyt z twojej biblioteki, być może jedyny sposób, żeby dowiedzieć się, co robią! Są Podpalacze! A tymczasem ja... tkwię tutaj z założonymi rękami. Nie odpowiada mi to, szczerze mówiąc.
Nestor się uśmiechnął.
- Niezły charakterek.
- To ty o tym jeszcze nie wiedziałeś?
- Zgoda. Wiedziałem doskonale - zachichotał Nestor.
Julia rzuciła mu krzywe spojrzenie.
-1 dlatego was właśnie wybrałem, moje dziecko.
Kiedy wyszli z kuchni, słońce już się wspięło ponad płaską linię horyzontu i migotało pod całunem chmur. Wielki jesion rzucał cień na dach Willi Argo, a trawa w parku była wilgotna.
Julia poszła za Nestorem do jego domku.
Na stole ciągle jeszcze leżały stosy książek, które studiowali poprzedniego dnia: Słownik języków zapomnianych, Podręcznik miejscowości wymaganych, Katalog rozumowany książek nieistniejących i oczywiście Inwentarz alfabetyczny przedmiotów niemożliwych.

Stary ogrodnik nie zwracał na nie uwagi i zaczął otwierać i zamykać malutkie szafki wiszące nad kuchnią.

- U licha, gdzie ja je schowałem...

Julia usiadła, ziewając.

-Kiedy tu była Anita, przedwczoraj... - burczała oskarżycielskim tonem - nic mi nie wspominałeś, że masz dla mnie jakieś lekarstwo.

- Doprawdy? - odpowiedział z roztargnieniem Nestor, przesuwając jakieś słoiki. - O, jest tu. - Trzymał w ręku słoiczek po marmoladzie ze zmienioną etykietką, na której widniało starannie napisane słowo Císopea, pismem, które Julia w lot rozpoznała. To było pismo Penelopy.

- To mieszanka mojej żony według starego sekretnego przepisu... - Nestor odkręcił przykrywkę i wysypał do filiżanki kilka pełnych łyżeczek suszonych ziółek o okropnym zapachu. - Zaufaj jej, a będziesz czuła się jak nowo narodzona.

Julia wykrzywiła twarz w grymasie.

- Jesteś pewien?

- To specyfik na wszystkie choroby - uśmiechnął się Nestor. Zalał to gorącą wodą i zaczął mieszać. - A z odrobiną cukru nie jest złe.

Julia zatkała sobie nos i łyknęła paskudną miksturę.

- Wypij wszystko.

- Na pewno?

- Jeżeli naprawdę chcesz być zdrowa.

- Miły jesteś. Oczywiście, że chcę.

Julia wypila wszystko bez dalszych pytań. Císopea przypominała jaja na twardo z piaskiem i miała posmak goryczy.

- FUJ! - zakrztusiła się. - Ależ to paskudne!

- Nie mogę ci nie przyznać racji.

Nestor spojrział znowu na zegarek.

- Dobrze. Teraz już muszę lecieć. Mam kawałek drogi do centralki telefonicznej.

Julia nalala sobie dwukrotnie szklanek wody z kranu.

- Matko jedyna, ale mam ohydny smak w ustach.

-Do czasu. Jeśli chcesz naprawdę wyzdrowieć, wyzdrowiejesz.

Julia powtórzyła to zdanie po Nestorze, z odcieniem ironii. Potem, gdy Nestor stał już w drzwiach, spytała poważnie:

- Czy pamiętasz gdzie leżał ten zeszyt, kiedy go po raz ostatni widziałeś?

- Na półce z książkami podróżniczymi - uśmiechnął się. - Tam, gdzie przedtem stały też moje notatniki.

- Te, które nam podrzucałeś od czasu do czasu do pokoju w wieżycze?

- Te, które Leonard i Kalipso postanowili wraz ze skrzynią przekazać jakiemuś nieznanemu typowi, który je opublikował. - odpowiedział Nestor i pokuśtykał do ogrodu. Drzwi same się za nim zamknęły. Julia pozostała jeszcze czas jakiś w jego domku, potem wstała i wyszła na świeże powietrze poranka.

Czas. Nie mieć wątpliwości. Jeśli chcesz naprawdę wyzdrowieć, wyzdrowiejesz.

Położyła sobie dłoń na czole. Mewa sfrunęła z urwiska jak biały przecinek.

Julia spojrzała na zwirowaną alejkę biegnącą przez park i przeszła przez wielką bramę z kutego żelaza. Nestor zaparkował swój motor z przyczepą na głównej drodze i teraz go zapalał.

Kiedy zobaczyła wydobywające się kłęby dymu, nagle zdała sobie sprawę, że ból głowy ustąpił. Dotknęła palcami gardła.

Także gardło już jej nie bolało.

Nie mogąc w to uwierzyć, Julia zaczęła macać się po całym ciele, jakby dla sprawdzenia, czy wszystko ma na swoim miejscu. Zamiast bolących kości, jak to było w ostatnich dniach, poczuła zdrowe mięśnie i wielki przypływ energii.

- Do licha - pomyślała na głos. - Czuję się lepiej.

Kuchnia w Willi Argo Kilmore Cove Kornwalia

Rozdział 5

WE FRANCJI

Mimo obaw i lęku Ricka samolot ATR 500 Air France, obsługujący linię Londyn - Tuluza, wylądował punktualnie.

Kiedy samolot wpadał w chmury, kierując się na południe i podchodząc do lądowania, Anita to chwyciła za rękę Jasona, to Ricka i wreszcie ścisnęła je obie.

Może nieco mocniej rękę Jasona.

Kiedy ostatecznie samolot dotknął płyty lotniska w Tuluzie, podskakując raz, a potem jeszcze dwukrotnie, hamując wszystkimi kłapami podniesionymi do góry, i kiedy ucichło dudnienie opon podwozia mknących po asfalcie, dziewczynka odchyliła głowę na oparcie fotela i uśmiechnęła się.

- Dolecieliśmy - powiedziała.

Rick dopiero wtedy otworzył oczy.

Dokoła nich pasażerowie odpinali pasy bezpieczeństwa. Głos z głośnika powtarzał po francusku zbędne instrukcje. Odzywały się dźwięki pierwszych włączanych na nowo komórek.

- Ruszmy się - popędził ich Jason, który poderwał się jako pierwszy.

Samolot był do połowy pusty. Dzieci prześlizgnęły się między pasażerami wyjmującymi swoje walizeczki ze schowków i dotarły do stewardessy, która stała przy wyjściu. Szybkie pożegnania i zeszły po schodkach, a następnie wsiadły do podstawionego autobusiku.

Powietrze było gorące i wilgotne, wprost parne.

Następni pasażerowie dołączali do nich pojedynczo ze swoimi bagażami na kółkach i z komórkami przyciśniętymi do piersi. Pewna elegancka pani energicznie gestykulowała, rozmawiając z przyjaciółką o pogodzie. Jakiś biznes-man spoglądał uważnie w swój telefon, jednocześnie poprawiając sobie krawat. Pewien pan wpatrywał się w swoje buty, zupełnie jakby usiłował przypomnieć sobie powód, dla którego je włożył. Na drugim końcu autobusiku dwa typy ubrane na czarno z parasolami w rękę, jeden blondyn a drugi kędzierzawy, zaczęły czytać miejscową gazetę.

I właśnie ta gazeta zwróciła uwagę Ricka. Chłopiec o rudych włosach obrócił się powoli plecami do innych

pasażerów i spojrzał najpierw na Jasona, a potem na Anitę.

- Słuchajcie... czy widzicie tych dwóch z gazetą?

Anita zerknęła ponad jego ramieniem.

- Trzymają ją do góry nogami - zauważyła. - Więc wcale jej nie czytają.

- Tak właśnie sobie pomyślałem.

Autobusik szarpnął i ruszył. Anita, Rick i Jason złapali za uchwyt ściśnięci koło siebie.

Blondyn i kędzierzawy odłożyli gazetę.

- Patrzą na nas - powiedziała Jasonowi na ucho Anita.

- Nie wbijajmy sobie do głowy dziwacznych pomysłów - westchnął chłopiec.

- Mówię ci, że patrzą. Ten kędzierzawy wpatruje się we mnie.

- Może jesteś w jego typie.

- Głupek - zaśmiała się Anita.

Autobusik zarzucił i skręcił, kierując się w stronę niskiego budynku dworca lotniczego. Przez całą drogę dwa typy ubrane na czarno nawet nie drgnęły. Dzieci też się nie ruszały.

Zostali podwiezieni pod samo wejście. Po kontroli paszportów wszyscy udali się po odbiór bagaży, kierując się wskazówkami na odpowiednich tablicach. Jason, Anita i Rick szli szybko, próbując zwiększyć jak tylko się da dystans między sobą a dwoma typami ubranymi na czarno. Anita trzymała rękę w kieszeni dla pewności, że zeszyt Morice'a Moreau jeszcze tam jest. Doszli do czarnych taśm, na których miały nadjechać bagaże i stanęli z boku, czekając.

- Udajemy, jak gdyby nigdy nic, czy dajemy im poznać, że wiemy o nich? - spytał Rick.

- Niby jak to sobie wyobrażasz? Że podejdziemy i zapytamy ich, czy są Podpalaczami?

- odpowiedział złośliwie Jason.

- Ale gdzie oni są?

Po tamtych dwóch nie było nawet śladu.

- Wyszli. Już ich nie ma.

- Może nie mieli bagażu?

-Może to był fałszywy alarm? Może byli po prostu zbyt śpiący, żeby naprawdę czytać gazetę? Błysnęła czerwona lampka, dał się słyszeć cichy zgrzyt i czarna taśma ruszyła. Bagaże wyskakiwały z głuchym uderzeniem z czeluści w głębi i krążyły przed pasażerami. Pierwszy nadjechał plecak Jasona, brzęczący jak stare żelastwo. Potem przyszła kolej na plecak Ricka i na torbę na kółkach Anity. Zanim odeszli, wszyscy troje rozejrzeli się jeszcze dokoła.

- Znikli - zauważyła Anita.

Ale była w błędzie.

Ujrzeni ich ponownie przy wyjściu z budynku, jak stali przy kiosku z gazetami oparci o swoje parasole.

Dzieci spojrzały po sobie przejęte.

-Według mnie, ci dwaj czekają na nas... - szepnął Rick.

- To każemy im trochę poczekać - odparł Jason. Podciągając sobie plecak na plecach, wyciągnął z kieszeni dzinsów notes, w którym zanotował etapy podróży. Wziął długopis i skreślił pierwszy punkt: „Londyn - Tuluza”.

Komórka Anity zadzwijała swoją melodyjkę.

-Wyślę wiadomość do Tommiego - powiedziała dziewczyna. - Dokąd teraz idziemy?

Następnym etapem było miasteczko M*. Żeby do niego dojechać, należało wsiąść w autobus jadący w stronę Pirenejów. Dlatego musieli dotrzeć na dworzec autobusowy, a tam...

- Musjmy się rozdzielić - powiedział Rick.

- Słusznie - Jason podniósł wzrok znad notesu. - Mam pewien pomysł - oznajmił z chytrym uśmieszkiem.

- Szkoła w St. Ives, dzień dobry - odpowiedział Nestor na telefon w centralce znanej pod nazwą „domu o tysiącu wezwań”. - Dzień dobry, pani Covenant, słucham uprzejmie. Jest jakiś problem? Ach, oczywiście, niespodziewana wycieczka syna!

** Nota od red.: Drogi Czytelniku, dla uniknięcia wszelkiego niebezpieczeństwa postanowiliśmy nie ujawniać nazwy tej miejscowości.*

Siedząc przed ramieniem mechanicznym, które łączyło rozmowy z Kilmore Cove, Nestor bębnił ołówkiem w mosiężne plakietki z nazwiskami rodzin w miasteczku.

- Wiemy, że nie zostaliście państwo w porę uprzedzeni, przepraszamy, ale... czasami tak się może zdarzyć

- powiedział mamie Jasona, udając pełne zrozumienie.

- Jak długo dzieci będą w podróży? Dwa dni. Są z nimi wszyscy nauczyciele, więc proszę się o nic nie-martwić. Trochę się rozerwą, nie to, co my... wiecznie zapracowani, nieprawdaż?

Uśmiechnął się, spoglądając przez okno. Las dookoła centralki był doprawdy gęsty.

- Ma pani słuszość, pani Covenant. Doprawdy. Dla dzieci to okazja. Jakby pani miała jakieś wątpliwości, proszę się nie wahać i dzwonić do nas. Nie sądzę, żeby Jason znalazł na to czas. Wycieczka jest specjalnie tak pomyślana, żeby nie zostawić dzieciom ani minuty wolnej. Wiem, wiem. Znamy go. Ale sądzimy, że uda się nam go zmęczyć. Dziękuję! Wzajemnie. Miłego dnia.

Nestor skończył rozmowę, odstawił maleńkie pudełeczko, dzięki któremu odmienił swój głos, wyjął wtyczkę z czarnego telefonu przed sobą i podłączył ją do gniazdka numeru szkoły w St. Ives.

Potrząsnął głową ze zdenerwowania. Nie lubił takich sytuacji, kiedy musiał uciekać się do podstępów. Z zasady był takim sposobom przeciwny, ale tym razem było to z pewnością lepsze niż próba wyjaśnienia obojgu państwu Covenant, że ich syn wyjechał w Pireneje z niejasną misją ratunkową.

Ramię mechaniczne, które łączyło rozmowy z Kilmore Cove, ponownie uaktywniło się z brzękiem. Nestor sprawdził, skąd pochodził kolejny telefon.

- Z tej też ranny ptaszek ... - mruknął. Tym razem telefon pochodził z domu Bannera i też wywoływał numer szkoły w St. Ives.

Nestor chwycił szybko wtyczkę i znowu podłączył ją do swego aparatu.

- Szkoła w St. Ives, dzień dobry. Ach, to pani, pani Banner, dzień dobry. Jak się pani miewa? O co chodzi? Wycieczka? A tak, dzieci właśnie wyjechały. To będzie wielka rozrywka. I również bardzo pożyteczne. Zobaczysz pani, że syn będzie zachwycony. O nie. Nie wróci wieczorem. Jutro. Wie pani, jak to jest, trzeba im dać czas... na zrobienie tego, co muszą zrobić!

- Taksówka! - zawołała Anita po wyjściu z budynku lotniska. Dziewczyna rozejrzała się na wszystkie strony, zobaczyła kolejkę czekających i podeszła, by zająć w niej swoje miejsce. Dwa typy ubrane na czarno szturchnęły się łokciami. Kiedy Anita znalazła się już na przodzie kolejki, kędzierzawy oderwał się gwałtownie od kiosku i zbliżył się do niej. Wyminął bezceremonialnie innych czekających i wepchnął się na siłę do taksówki, która podjechała tuż za taksówką Anity.

- Jedź za nią! - rozkazał kierowcy, wskazując wóz, który ruszył przed nimi.

Blondyn tymczasem pozostał przy kiosku z gazetami, nieco podenerwowany. Nie miał czasu na przeczytanie najważniejszych wiadomości, kiedy przy wyjściu z lotniska pojawił się już Rick z plecakiem na plecach, z tymi swoimi rudymi włosami lśniącymi w słońcu.

- Taksówka - zawołał, po czym też stanął w kolejce.

„A trzeci?” - zadał sobie pytanie blondyn. Dlaczego

nie było tego trzeciego? Musiał szybko zdecydować, co robić. Jechać za rudowłosym czy poczekać na jego przyjaciela?

W kolejce do taksówki stało pięć osób. Cztery. Dwie. Blondyn złożył gazetę i stanął w kolejce.

Zobaczył, jak Rick wsiada do taksówki trzy osoby przed nim, spróbował usłyszeć, jaki adres podał kierowcy, ale nie rozumiał ani słowa. I zrobił to samo, co jego kolega: wepchnął się na siłę bez kolejki, wsiadł w nadjeżdżającą taksówkę tuż za Rickiem i rozkazał kierowcy jechać za nim.

Jason, jeszcze w budynku lotniska, uśmiechnął się. Teraz wyszedł sobie najspokojniej w świecie i wziął trzecią taksówkę.

-Na dworzec autobusowy, proszę - powiedział kierowcy.

Spojrzał na zegarek. Rick i Anita mieli pięćdziesiąt minut, żeby zmylić ścigających i dołączyć do niego przy autobusie odjeżdżającym do M.

Albo gdyby nie zdołali ich zgubić, puścić go w podróż samego.

Już na dworcu autobusowym Jason wybrał sobie spokojne miejsce: w jednym z barów pod gołym niebem, na małym placu. Zamówił swój ulubiony napój, orsza-dę, i rozglądał się dokoła, wypatrując blondyna i kędzierzawego, których na szczęście nigdzie nie było widać. Próbując sobie wyobrazić, gdzie też mogliby być, otworzył, a po chwili zamknął, swój plecak, wyciągając to, czego z pewnością ci dwaj mężczyźni szukali: notatnik podróży Morice'a Moreau, który powierzyła mu Anita. Według tego, co odkryli, książeczka ta zawierała wskazówki, jak dotrzeć do Arkadii, Kraju, który umiera. Ale, prawdę powiedziawszy, wskazówki były raczej mgliste. Morice narysował górę z płonącym zamkiem na szczycie i dwie małe postacie, które się od niego oddalają. Narysował też mężczyznę, który wychodzi z domu, przeglądając się w lustrze, tego samego mężczyznę, jak spaceruje nad brzegiem strumyka, a potem jeszcze chodzi po gęstym lesie. W końcu narysował go przed murami tego Kraju, który umiera.

Dalej była stronica, ledwie naszkicowana, z kilkoma rozrzuconymi literami i szkic jakiegoś zwierzęcia podobnego do jeżozwierza. Ostatnie cztery strony były puste.

Całkowicie puste.

Jason przekartkował wszystkie dwadzieścia stron, zatrzymując się na tych, na których znajdowały się małe czarne ramki.

Wszystkie były puste, znaczyło to, że żaden inny czytelnik w tym momencie nie zaglądał do tej książeczki. Wrócił raz jeszcze do rysunków w poszukiwaniu jakiejś inspiracji. Jednak, choć badał je uważnie, nie zauważył niczego szczególnego. Ale że był przyzwyczajony do tropienia śladów całkiem niejasnych, za bardzo się nie przejął. Przejął się natomiast, gdy zeszyt prawie wyslizgnął mu się z rąk i sam otworzył na stronie z płonącym zamkiem.

W czarnej rameczce, obok zamku, pojawiła się jakaś postać. Mężczyzna na stosie poduszek. Jason poczuł, jak gwałtownie zabiło mu serce, zbliżył rękę do rysunku bez dotykania go i przypomniał sobie, że kiedy ten sam mężczyzna ukazał mu się w Kilmore Cove, on ujawnił mu nieopatrznie swoje nazwisko. Nestor wyrwał mu wtedy zeszyt z rąk, ale za późno, Jason zdążył nieznajomemu ujawnić również miejscowość, w której mieszka.

Niebezpieczeństwo - ostrzegł go głos gdzieś z głębi mózgu.

Ale inna część mózgu, czy też instynkt, przeważała. Jason oparł dłoń na rysunku.

- KIM JESTEŚ? - zapytał mocny głos w jego własnej głowie.
- A kim ty jesteś? - odparował chłopiec.
- KIM JESTEŚ?

Głos mężczyzny brzmiał przeraźliwie złowieszczo, ale to uparte pytanie jakoś rozśmieszyło Jasona.

- Jestem nieprzewidziany.
- Nieprzewidziany? A cóż to znaczy?
- Jestem kimś, kogo nie możesz śledzić. Nie możesz przewidzieć ani nie możesz kontrolować.
- Powiedz mi, jak się nazywasz.
- Jestem Podróżnikiem w Wyobraźni. -NIE!
- A właśnie, że tak.
- Nie istnieją już Podróżnicy w Wyobraźni! Zlikwidowaliśmy ich mapy i spaliliśmy ich dzienniki! A zatem ta rozmowa jest niemożliwa. Ty nie istniejesz!
- A właśnie, że istnieję i to jeszcze jak. Wiesz, na czym polega problem, głupi rysunku?
- zapytał Jason. - Że być może to ty nie istniejesz!
- Ale ja jestem tu z ciała i kości, i z płomienia! I was znajdę! Znajdę książkę i znajdę was! I was spalę!

- Nie tym razem - krzyknął Jason. - Kimkolwiek jesteś, tym razem to my znajdziemy ciebie!

Zamknął gwałtownie zeszyt i schował go do plecaka. Klienci baru spoglądali na niego zdumieni. Zwrócił na siebie uwagę.

Zapłacił za napój i poszedł wólnym krokiem w stronę autobusu do M.

Odnalazł swój autobus, jakiś stary gruchot, i rozejrzał się po placu w poszukiwaniu przyjaciół.

Nie było ich. Wszedł na stopień i kupił u kierowcy trzy bilety. Trzy wąskie kwitki z białego papieru z błękitnymi numerami.

Nakazał sobie nie myśleć o rozmowie, jaką odbył przed chwilą. Nie powiedziałby o niej nikomu.

W głębi dworca zauważył jakieś poruszenie i dostrzegł wśród pasażerów Ricka. Przyjaciel biegł pędem, a plecak podskakiwał mu rytmicznie. Jason podniósł dłoń i pomachał w jego kierunku.

- O mały włos! - wysapał chłopiec o rudych włosach, kiedy dobiegł do przyjaciela.

-I jak poszło?

-Poszło tak, że wpadłem w jakiś zaułek i zacząłem biec.

- A on biegł za tobą?

- Chyba nie. - Rick puścił oko. - Byłem o wiele szybszy od niego, na szczęście.

Potem zerknął na autobus, który był pusty w połowie. - A Anita?

- Jeszcze nie przyszła.

Rick przecesał dłońmi czuprynę.

- To dzielna dziewczyna. Będzie tu za chwilę.

- Autobus już odjeżdża.

Zaczekali kilka minut, a kiedy zauważyli, że kierowca chce ruszać, uprosili go, żeby jeszcze chwilę poczekał.

Mężczyzna prychnął, odczekał jeszcze ze dwie minuty i zaczął zamykać drzwi.

- Poczekajcie! - usłyszeli krzyk z głębi placu.

Wychylili się i zobaczyli jak Anita błyskawicznie wyskakuje z dorożki dla turystów. Biegiem dopadła autobusu zdyszana.

- Nawet sobie nie wyobrażacie, jak trafiłam do tej dorożki! - zawołała cała szczęśliwa.

- Zupełnie nie - roześmiał się Jason i podał jej rękę.

- A gdzie twoja torba na kółkach?

- Musiałam ją poświęcić.

Anita z impetem wskoczyła do autobusu na moment przed tym, jak kierowca zamknął drzwi. I wpadła wprost w ramiona Jasona, nieco onieśmielona. Popatrzyli chwilę na siebie, po czym Jason puścił ją i poprowadził na swoje miejsce.

- Wszystko, co miałas w torbie, i samą torbę można odkupić - powiedział, spoglądając na nią spod rozwichrzonej czupryny. - Najważniejsze, że ty dotarłaś.

Rozdział 6

W ARSENALE*

Również w Wenecji był poranek. Dachy basenów portowych Arsenалу wyglądały jak odwrócone litery V skierowane ostrzem w pochmurne, ciemne niebo. Prowadzący motorówkę podpływał powoli, manewrując małym ślizgaczem, który zostawiał na wodzie smugę oleju. Siedzący w głębi łodzi Tommaso milczał. Spoglądał na tłuste plamy na powierzchni wody za nim i na nieoświetlone trawniki między stoczniami okrętowymi a warsztatami. Po ich lewej stronie stał stary żuraw

** Arsenał w Wenecji to nie jest wbrew nazwie zbrojownia, lecz stare, dziś już nieczynne, stocznie okrętowe i baseny portowe.*

z czarnego metalu, którego szyja zakończona czerpakiem wyglądała jak wykrzyknik wbity w ziemię. Dalej, na kamiennym nabrzeżu, zobaczył umieszczony na cokole ciemny kadłub okrętu podwodnego Enrico Dandolo, tkwiący tam niczym wielka porzucona zabawka. Jeszcze nigdy żaden turysta nie przedarł się przez ogrody św. Heleny, by przemierzyć szerokie szańce starego Arsenалу. W tej posepnej ciszy kierowca motorówki skierował swoją łódź w stronę magazynu warsztatów okrętowych z drewnianym dachem. Przybił do brzegu i sprawnie zacumował.

- Wsiadaj - polecił Tommiemu.

Chłopiec nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Od kiedy ten człowiek pojawił się w Domu Bazgrołów, Tommi posłusznie go słuchał.

Pozostawili za sobą białe szeregi basenów okrętowych i przeszli przez trawnik. Stary Arsenał składał się z dziesiątków szeregów niskich hal ceglanych z wielkimi oknami wychodzącymi na lagunę. Mężczyzna wepchnął Tom-miego do środka hali, której drzwi stały otworem. Kiedy już tam byli, nieznajomy zapalił światło. Znajdowali się w ogromnym pomieszczeniu - na pół pustym. Strop był z drewnianych belek, a potężne rury od centralnego ogrzewania pokrywały ściany jak miedziane glisty.

Na środku hali znajdowały się: plastikowy przezroczysty sześcian, manekin w kostiumie z osiemnastego wieku,

dwa krzesła pokryte czarnym lakierem, fotel w kształcie ręki i inne sprzęty, które Tommasowi skojarzyły się z jakimś filmem fantastycznonaukowym.

Ta ogromna hala sprawiała wrażenie zimnej i surowej.

Mężczyzna nieuprzejmym gestem kazał Tommiemu usiąść, zawiesił swój parasol, który mógł też miotać ogień, na palcu fotela w kształcie dłoni, zdjął melonik i płaszcz i rzucił je na podłogę.

- Witaj w naszej sekcji weneckiego biennale - zachichotał szyderczo Podpalacz. - W delegaturze zagranicznej naszego wspianego klubu. - Opadł na fotel w kształcie dłoni, który ugiął się pod jego ciężarem. - Jak widzisz, nie wszystkie nowe idee są do... spalania.

Tommaso przyglądał mu się w milczeniu. Ten obcy mężczyzna, zanim zmusił go do wyjazdu do Arsenалу, powiedział: „Teraz narobiłeś sobie prawdziwego bigosu, chłopcze”.

I co do tego nie było żadnych wątpliwości.

- No, to zaczynamy od początku, zgoda? - odezwał się mężczyzna, pocierając brOdę. - Ja się nazywam Eco. A ty jesteś... - Odczekał, aż Tommaso mu odpowie, po czym,

zważywszy że chłopiec nadal milczał, ciągnął: - Tommaso Ranieri Strambi, którego nazywają Tommi. Sympatia Anity Bloom.

- Nie jestem jej sympatią - zaprotestował Tommaso.

- Ach, więc jednak potrafisz mówić.

- Jestem jej przyjacielem i tyle.

- Zatem przyjaciel, nie sympatia. Dobrze. Uwielbiam precyzję. Spotkaliśmy się już ze sobą, my dwaj, w kawiarni Duchamp kilka dni temu.

Tommaso przytaknął niezauważalnie. Pamiętał to dobrze. Ten człowiek ukradł mu instrukcje, jak dotrzeć do Kilmore Cove.

-Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli... - ciągnął Podpalacz. - Musisz mi tylko powiedzieć, co ci napisała twoja przyjaciółka Anita w SMS-ie, który ci niedawno przesłała... - Eco podniósł komórkę Tommiemu wymownym gestem.

- Nic ważnego.

- Nic ważnego. To powinienesz pozostawić mnie do oceny.

Tommaso niepewnie rozejrzał się dokoła.

- A kim pan jest, żeby o tym decydować?

-Jak ci już powiedziałem, nazywam się Eco. Pracuję w Wenecji. Moją pracą jest podpalanie. Chcesz moją wizytówkę?

- Nigdy nie słyszałem o kimś, kto zawodowo podpala. To nie jest praca.

- Ach, nie? A strażacy? Nie wydaje ci się, że to tylko różnica w podejściu? My robimy mniej więcej to samo: kiedy jest alarm, przybiegamy. I jeśli jest coś, co warto spalić... to palimy.

Tommaso natychmiast pomyślał o najwyższym piętrze w domu Morice'a Moreau, gdzie znajdowała się jego spalona pracownia. Jęknął, ale nadal milczał.

Eco zaczął bębnić palcami po kolanie.

- Cóż, spróbujmy się dogadać, chłopcze. Ja nie chcę cię ani porwać, ani zabić. Chcę się tylko dowiedzieć, co ci napisała Anita.

- To nie była ona.

- Ach, nie? A kto to był?

- Mój przyjaciel.

- Twój przyjaciel...

- Kolega ze szkoły. W sprawie dzisiejszego zadania klasowego.

- Bardzo dobrze. Tylko że jeśli już o to chodzi, dzisiaj może być ci trudno rozwiązywać zadania w klasie.

- Powiedział pan, że nie chce mnie porwać.

- Powiedziałem, że nic ci się nie stanie, jeżeli mi powiesz, co ci napisała Anita. Pozwolę ci wrócić do domu, jakby nic się nie stało. Nawet udzielę ci rady, żebyś zapomniał o całym tym wydarzeniu.

- Co to znaczy?

-Zapomnij o swojej przyjaciółce, o Domu Bazgro-łów... i może nawet o Ulyssesie Moorze. Na dźwięk tego nazwiska Tommaso podskoczył na krześle.

- Wiesz o kim mówię, prawda?

- Czytałem jego książki.

-Jest coś dużo lepszego w obiegu, mój chłopcze. Na przykład zeszyt z rysunkami Morice'a Moreau.

Tommaso przełknął ślinę. Jak mógłby oszukać tego człowieka? Wydawało się, że on wszystko wie: o zeszycie z rysunkami, który Anita znalazła w pracowni Morice'a Moreau, o spotkaniu z tłumaczem dzienników Ulys-sesa Moore'a, o podróży Anity do Londynu...

Może jednak Podpalacz nie wiedział jeszcze, że Anicie udało się dotrzeć do Kilmore Cove, że znalazła...

- Morice Moreau był od dawna na naszej czarnej liście. I na tej samej liście, co za przypadek, są też Ulysses Moore i tajemniczy tłumacz jego dzienników.

- A teraz jestem i ja?

Eco zaśmiał się głośno, z upodobaniem, ale jego śmiech zabrzmiał złowieszczo. Potężny rechot odbił się echem po pustej hali.

- Oczywiście, że nie jesteś, Tommaso Ranieri Strambi - podjął. - Nie jesteś, ponieważ jesteś za małą rybką. I uwierz mi, że masz szczęście.

- Dlaczego?

- Dlatego że gdybyś trafił na czarną listę Podpalaczy, to znaczyłoby, że ktoś powiedział o tobie doktorowi Wojniczowi - wyjaśnił. - A doktor Wojnicz, jak tylko dowie się o tobie, otworzy w swoim biurku szufladkę z literą „L” i wyciągnie swoją listę. Potem otworzy szufladkę z literą

„P”, żeby wziąć pióro i wpisać twoje nazwisko na listę. A potem umieści ją w szufladce z literą „D” - Do sprawdzenia. A wiesz, co to oznacza?

- Nie - odparł Tommaso, chociaż domyślał się tego doskonale.

- Że kiedy upłynie czas konieczny, żeby zrobić jakieś dochodzenie, jeśli to dochodzenie przyniesie rezultaty powiedzmy. .. pozytywne, lista trafi do działu „do wyeliminowania” i wtedy nazwisko zostanie wyeliminowane. Czarną kreską węglem. Trzask! I po problemie.

- Po pro... problemie?

- Właśnie. Po problemie. Morice Moreau był problemem. Ulysses Moore to jest problem. Jego tłumacz może też stać się problemem, podczas gdy na razie jest tylko mniejszym problemem. A ty i twoja przyjaciółeczka... jesteście mniejszym problemem problemu mniejszego. Zatem, jak widzisz, twoja sytuacja nie jest znowu taka rozpaczliwa. Kiedy Eco mówił, mózg Tommiego łączył te informacje. Czarna lista doktora Wojnicza, osoby wyeliminowane jednym pociągnięciem węgla, pożary... Morice Moreau, który stanowił problem i o którym się mówiło, że zginął powieszony w swojej pracowni, kiedy dom płonął. Zaczęły mu przychodzić na myśl dziwne powiązania całkiem mało przyjemne.

- Od jak dawna... wykonujecie swoją pracę?

- Och, formalnie zaledwie od pięćdziesięciu lat, odkąd otworzyliśmy naszą główną siedzibę w Londynie.

- A przedtem?

- Przed Londynem działaliśmy bez siedziby z prawdziwego zdarzenia... - Uśmiechnął się, rozkładając ramiona. - Każdy na własną rękę, bez koordynacji centralnej. Nie mieliśmy tych eleganckich uniformów - wyjaśnił. - Ani parasoli miotających ogień... takich jak ten, który widziałeś w akcji, ale które mają jeszcze mnóstwo innych możliwości. Mogą też przyciągać pioruny, wiesz? W każdym razie, wracając do tematu: przed Londynem, ci, co jak my nie przepadają za nowinkami i absurdalnymi wynalazkami, jak te wymalowane przez Morice'a Moreau albo opowiedziane przez Ulyssesa Moore'a, inspirowali się życiem naszego prawdziwego założyciela, człowieka, który jako pierwszy przeczuł potęgę ognia w rozwiązywaniu wszelkich problemów.

Tommaso nie zrozumiał ani jednego słowa z tego, co Eco opowiadał, ale śledził wzrokiem tłusciutką upierścienioną rękę Podpalacza, która wskazywała na manekin z drewna stojący obok przezroczystego sześcianu. Był ubrany w starą czarną pelerynę i miał maskę w kształcie ptasiego dzioba.

Eco, widząc zdziwienie chłopca, zachichotał.

- Nie rozpoznajesz tego stroju, prawda?

- A powinienem?

- Może mógłbyś. Należał do hrabiego Cenere - wyjaśnił Podpalacz.

Hrabia Cenere - Tommaso zdumiony, podskoczył na dźwięk tego nazwiska. Członek Tajnej Policji Najjaśniejszej Republiki Weneckiej, który wytropił Petera De-dalusa, a następnie kazał spalić jego laboratorium na Wyspie Masek, gdzie dokonywał swoich wynalazków.

- To on nas uczył, wprowadził na „drogę” właśnie tu, w Wenecji, wiele lat temu... Opowieść przerwał jakiś nagły hałas. Wydawało się, że ktoś biegnie po dachu hali. Eco i Tommaso podnieśli wzrok, nasłuchując. Przejęty Podpalacz zmarszczył brwi.

- Co to się dzieje? - Wstał z fotela w kształcie dłoni i wolno poszedł w stronę drzwi wejściowych do hali, kiedy hałas na dachu nagle ucichł.

Tommaso wstał z krzesła. Spoglądał na hrabiego Cenere, Eco i dach, cały czas myśląc gorączkowo, co robić.

Przez wielkie okna zobaczył na niebie ciemne chmury. Sala była ogromna i prawie pusta, nie licząc tych kilku przedmiotów, jak manekin w starej weneckiej masce...

Kiedy tak patrzył na manekin hrabiego Cenere, nagle doznał olśnienia, że w Wenecji znajdowało się miejsce wymaginowane: Wyspa Masek z dzienników Ulyssesa Moore'a. Żeby się dostać do miejsca wymaginowanego, potrzebne były dwie rzeczy: przewodnik i jakiś przedmiot z tego miejsca...

Eco podszedł już do drzwi i otworzył je szeroko. Wyszedł parę kroków na zewnątrz i uważnie obserwował dach.

Tommaso na palcach zbliżył się do manekinu.

-To musiał być jakiś kot... - mruknął Eco z westchnieniem, obracając się i zamierzając zamknąć za sobą drzwi.

Ale zanim to zrobił, nagle coś dużego wpadło mu między nogi.

Tommaso aż zamarł. Przez jedno z tych wielkich przeszklonych okien zobaczył jakąś sylwetkę spadającą z dachu i skaczącą.

Wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem.

To była małpa.

Rozdział 7

BIBLIOTEKA

Willa Argo cichutko skrzypiała w gorącym słońcu poranka. Julia siedziała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze w bibliotece, pod wielkim malowidłem ściennym na suficie ukazującym drzewo genealogiczne rodziny Moore, które rozpoczynało się od protoplasty rodu, Ksawerego, i rozgałęziało, aż do ostatniej latorośli, Ulyssesa.

Julia domyślała się, że jego rodzice przybyli do miasteczka, aby rozpocząć tajemnicze poszukiwania.

W odróżnieniu od swego brata Jasona, Julia nie lubiła za bardzo zgromadzonego tu zbioru tomów o złożonych tytułach i grzbietach grubych jak cegły. Podobało się jej natomiast, że duża część bibliotecznych półek działała jak

drzwi obrotowe, otwierając tajemne przejście, dzięki któremu można się dostać niepostrzeżenie na wyższe i niższe piętra domu.

Na początek Julia przeszukała półki z mosiężnymi tabliczkami, żeby się upewnić, że zeszyt nie został po prostu przestawiony.

Spędziła pracowite dwie godziny z nosem zadartym do góry, dotykając palcem jednego tomu za drugim, zdumiona różnorodnością dziwnych książek, które się tu znajdowały.

Ale zeszytu książeczki nie było ani śladu. Spośród dwóch pozycji, które mogły mieć związek z Morice'em Moreau, pierwsza to był szkic na temat ilustratorów końca dziewiętnastego wieku, zatytułowany Malarze na papierze, w którym znalazł się następujący fragment o tym francuskim artyście:

Mońce Moreau (Tuluza, 1863- Wenecja, 1948). Malarz francuski. Zilustrował ponad pięćdziesiąt książek podróżniczych i przygodowych.

Wśród jego najślawniejszych dzieł są Podróże Guliwera w wydawnictwie Złoto i Kość Słoniowa, powieść Juliusza Verne'a Od bieguna do równika i Mity ginącego świata poświęcone legendom dawnych cywilizacji.

Drugą pozycją był zeszyt, może jeszcze bardziej interesujący, na którego okładce ktoś - pismem kaligraficznym, pełnym zawijasów - napisał:

Towarzystwo dżentelmenów, znanych pod inną nazwą jako Podróżnicy w Wyobraźni, w ich siedzibie na Frogal Lane 23

Rejestr obecności i nieobecności (przypuszczalnych albo imaginacyjnych) z lat 1908-1909

Zeszyt zawierał więc listę obecności na spotkaniach. Każda stronica była podzielona na kolumny i wąsko liniowana. W poszczególnych liniulkach dżentelmeni, należący do Klubu Podróżników w Wyobraźni, umieszczali swoje podpisy. Liczba obecnych wahała się między dwunastoma a dwudziestoma, ale w okresie świąt Bożego Narodzenia było ich około trzydziestu. Pewne nazwiska stale się powtarzały: nazwisko pana Moore'a, właściciela domu, włoskie nazwisko Marinetti i naturalnie podwójne splecione inicjały „M” Mori-ce'a Moreau.

Wydawało się, że Klub Podróżników w Wyobraźni szczególnie sobie upodobał właśnie literę „M”.

Od czasu do czasu, na stronicach rejestru pojawiały się jakieś notatki. W marcu na przykład redaktor Guadalupi wspominał oto, że: Pan i pani Soreson relacjonowali swoją podróż w wyobraźni na jeziora Kurlandii. Następnie był mały bankiet ze słodyczami typowymi dla tej nieprzyjaznej ziemi, na bazie łusek ze złotych rybek. Albo, dziesięć stron dalej, pan Frisch zapisał: Lektura dzienników pana Bulwer-Lyttona z jego podróży w wyobraźni do Agarthi. Obecni: pięć osób, a wśród nich ilustrator, Morice Moreau.

Julia położyła sobie rejestr na kolanach, nadal go kartkowała i czytała różne notatki, które stawały się coraz rzadsze. Zerknęła na trzy ostatnie strony, odkrywając, że były puste, jakby zebrania urwały się mniej więcej na początku lata. Ostatnia zapisana strona pochodziła z 19 czerwca 1909 roku. Była tam notatka o niedawnej śmierci jednego z dżentelmenów i relacja pana Moreau związana z jego zamiarem podjęcia ekspedycji w poszukiwaniu wymyślanego kraju, Arkadii.

- Bingo - szepnęła Julia, kładąc palec na rejestrze. Zdobyła drobną informację dotyczącą tajemniczej podróży autora zeszytu.

Tysiąc dziewięćset dziewięć.

Julia przekartkowała jeszcze rejestr w poszukiwaniu czegoś ciekawego, potem zamknęła go i zamyśliła się, siedząc ciągle na podłodze. Wiadomość, że Morice Moreau udał się do Arkadii w 1909 roku, właściwie nie była dla niej aż taka ważna. Ile lat miał wtedy? Czterdzieści sześć. Nawet ta informacja nie miała większego znaczenia.

biblioteka

W każdym razie nie pomagała w odzyskaniu zagubionego egzemplarza zeszytu.

Julia spróbowała uporządkować to, co już wiedziała: zeszyt nie był zwyczajną książką, lecz książką oknem. Kartkując ją, można było zobaczyć wszystkich innych czytelników, którzy w danym momencie patrzyli na te same stronicie książki. Książki okna były niezwykle rzadkie, produkowano je w tajemnicy, a istniały co najmniej w czterech egzemplarzach. Pierwszy znalazła Anita w weneckiej pracowni Morice'a Moreau i był niekompletny; ostatnie cztery strony miał puste. To mogło oznaczać, że egzemplarz należał do rysownika i że zabrał go on ze sobą do ostatniego miasta, w którym zamieszkał. Według encyklopedii Malarze na papierze, Moreau zmarł w 1948 roku. Jeśli rzeczywiście poświęcił siedem lat na wykonanie fresków w Domu Bazgrołów, oznaczałoby to, że musiał się tam przenieść nie później niż w 1941 roku. A zatem upłynęły trzydzieści dwa lata od czasu jego podróży do Arkadii i pojawienia się w Wenecji.

-Trzydzieści dwa lata to niemało... - szepnęła Julia zagłębiona w myślach.

Teraz zaczęła sobie porządkować fakty na temat trzech innych egzemplarzy tego zeszytu z podróży. Jeden był w rękach tajemniczej postaci, która prosiła o pomoc z kart zeszytu Moreau: kobiety z Arkadii, która stała się powodem podróży dzieci w poszukiwaniu tego miasteczka.

Drugi był w posiadaniu jakiejś małej osoby siedzącej na szczycie poduszek. Osoby niedobrej, mówiła Anita. Prawdopodobnie Podpalacza. Gdzież on przebywał? Może w Londynie, gdzie znajdowała się również siedziba Klubu Podpalaczy.

Pozostał ostatni egzemplarz i czwarty czytelnik, który się nigdy nie ukazał w swojej czarnej rameczce. Jakby zeszyt nie był w niczym ręku. Zgubiony.

W pewnej chwili Julia posłyszała, że otwierają się drzwi do kuchni piętro niżej i rozpoznała kroki kulejącego Nestora, który powrócił ze swojej wyprawy do „domu o tysiącu wezwań”. Odczekała, aż stary ogrodnik dołączy do niej w bibliotece, i spytała go:

- Ile osób miało dostęp do twojej biblioteki, Nestorze?

Mężczyzna zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział.

Spojrzał na rejestr, który dziewczynka trzymała na kolanach, i spytał, gdzie go znalazła. Julia wskazała mu jedną z półek.

- Niewiele - odpowiedział w końcu. - Tylko moja żona, Leonard...

- I to wszyscy?

- Peter i Black właściwie nigdy nie czytali. Dwie siostry Biggles też nie miały wtedy wielkiego zapału do czytania książek, a poza tym, w miarę dorastania, straciliśmy się z oczu. Po Wielkich Wakacjach, znaczy... kiedy rozdzieliliśmy klucze z czerwonej szkatułki, prawdę mówiąc nie wszyscy byli zgodni co do...

- Co do usunięcia Kilmore Cove z mapy.

- Właśnie.

- A co mi powiesz o ojcu Feniksie? - spytała Julia.

- Ojciec Feniks opuścił miasteczko na wiele lat, kiedy postanowił zostać księdzem.

Trochę jak Klio Biggies po tym, jak odkryła, że oczekuje dziecka. Kiedy ojciec Feniks powrócił, by zająć się naszym kościołem, kilka razy mnie odwiedził, ale... nie przypominam sobie, bym mu kiedykolwiek pożyczał książki.

- Nie przypominasz sobie czy nigdy nie pożyczałeś?

- Zeszyt Moreau pochodził wprost z Londynu. Stanowił część zbioru książek, które mój dziadek chciał zniszczyć, a które mój ojciec usiłował ocalić - przypomniawszy Julii Nestor. Niemożliwe zatem, żebym go komukolwiek pokazywał. Albo żebym go pożyczał.

- Pozostaje jednak faktem, że ktoś go zabrał - zakończyła Julia.

- Ale dlaczego?

- Może dlatego, że był szczególnie interesujący? - wysunęła przypuszczenie Julia. - Albo może dlatego, że ktoś chciał odnaleźć Kraj, który umiera? - Chwilę się zastanowiła. - Co mi powiedziałaś o Leonardzie i Kalipso? - zapytała go na koniec. - Że to oni przekazali twoje dzienniki tłumaczowi, tak? I Anita odnalazła

Kilmore Cove właśnie dzięki opublikowanym dziennikom. Może jest w tym coś, czego nawet ty nie wiesz... tajemnica, której nawet wielki Ulysses Moore nie zdołał odkryć. Poza tym Leonard nigdy nie porzucił nadziei, że odkryje, kim są budowniczy Wrót Czasu... to mogłaby być ta tajemnica.

Nestor oparł się ciężko o futrynę drzwi.

- Nie wszystkie tajemnice można wyjaśnić, Julio. Przez dwadzieścia lat próbowaliśmy odpowiedzieć na pytania tego rodzaju.

- A potem?

- Potem kontynuowanie poszukiwań stało się zbyt niebezpieczne - odpowiedział cicho.

- Nikt z nas nie odkrył, kim są budowniczy wrót. Ani ja, ani Penelopa, ani moi przyjaciele. Nie wiedzieli tego też moi przodkowie. Mamy jedynie klucze i wrota. To wszystko. Nie należy wnikać za głęboko w tajemnice.

- Zgadzasz się z tobą, Nestorze. Najwyraźniej jednak Leonard, Kalipso i mój brat są innego zdania.

- Budowniczy Wrót Czasu nie żyją, Julio - odpowiedział Nestor. - Nie ma już nic do odkrywania.

- To dlaczego wysłałeś chłopców i Anitę na poszukiwanie tej kobiety?

Nestor potarł dłonią o dłoń i nie odpowiedział.

- Może dlatego, że istnieją jeszcze Podróżnicy w Wyobraźni? - zapytała Julia.

BIBLIOTEKA ^

Nagle lustrzane drzwi od pokoju w wieżycy otworzyły się, uderzając głośno o ścianę. Gwałtowny podmuch wtargnął na schody, poruszając wszystkimi ramami z portretami przodków rodziny Moore.

Nestor zerwał się, by zamknąć okno. Jak zwykle otworzyło się samo. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Julia zbladła i wygląda na przestraszoną.

- Co ci się stało? - zapytał.
- Ten wiatr... - powiedziała dziewczynka.
- To tylko okno, to samo co zawsze.

Julia pokręciła głową.

- Nie, dmuchnęło od dołu... od podziemi, od groty.

Nestor majstrował przy zamku, zamykając okno bardzo solidnie. Potem przeciągnął ręką po włosach. Głęboka bruzda pojawiła mu się na czole.

- Mylisz się - powiedział bez przekonania.

Rozdział 8

GOSPODA ZE ŚWIECZKAMI

- I co dalej? - spytał Rick.

Autobus wyrzucił ich na placu na przedmieściu M. Powietrze było tu rześkie, a przed nimi roztaczał się wspaniały widok na Pireneje pokryte rozległymi zielonymi lasami. Najwyższe szczyty wznosiły się ponad miastem, opadając z drugiej strony coraz niższymi wzgórzami aż do równiny tuluzańskiej.

Anita włożyła golf.

Rick postawił plecak na ziemi i rozejrzał się dokoła. Placyk, na którym stali, był malutki, raczej okrągły, z kamienną fontanną pośrodku. Z wygiętego metalowego dziobka tryskała krystalicznie czysta woda, gromadząc się w owalnym zbiorniku. Po niebie szybowало stado jaskółek.

Jedyną osobą w polu widzenia był mężczyzna siedzący przy stole pod skrzypiącym szyldem z napisem Auberge de la Paix.

Doniczki z mimozą i leśnymi kwiatami nasycaly powietrze upojnym zapachem.

- Może coś zjemy? - zaproponował Jason. - A może zasięgniemy jakiejś informacji?

Rick rozejrzał się dokoła. Gorące słońce i góry przepelniały go chęcią wędrowania.

-Możemy spytać tego staruszka... - zażartowała Anita. - Może zna drogę do wymyślonej Arkadii...

Mężczyzna siedzący przy stole całkiem jakby ją usłyszał i uniósł niebieską szklaneczkę do ust. Wychylił ją jednym haustem.

- Na zdrowie! - powiedział.

- Na zdrowie - odpowiedziała dziewczyna.

Mężczyzna przyglądał się Anicie spojrzeniem zamglonym kataraktą. Odstawił szklaneczkę i uśmiechnął się.

- Szukamy miejsca, gdzie moglibyśmy coś zjeść - odezwał się Jason po francusku, z trudem, lecz poprawnie.

-Znaleźliście je - odparł stary, kaszląc. - Najlepsze i jedyne miejsce do zjedzenia czegoś. Ehe ehe ehe...

Za ciężkimi drewnianymi drzwiami gospoda Auberge de la Paix wyglądała, jakby pochodziła z zapomnianego świata.

Niski strop z ciemnych belek, małe okrągłe stoliki, nakryte obrusami z lnianego płótna, bukiety z suszonych kwiatów i świece. Czulo się zapachy pieczonego na ruszcie mięsa i sera. Zapachy absolutnie zniewalające.

- Uważajcie na to, co mówicie, i spróbujmy nie zwracać na siebie za bardzo uwagi... - szepnęła Jason, kiedy już znaleźli się w środku.

- Nie ma problemu. Spójrz tylko, jakie tłumy!

W lokalu nie było żywej duszy. Kiedy zbliżali się do lady, zapachy kuchni stawały się coraz silniejsze i coraz ostrzejsze. Na tablicy w rogu widniał spis dań wypisany ręcznie i całkowicie niezrozumiały.

Trójka młodych podróżników zasiadła przy jednym ze stolików znajdujących się najdalej od wejścia. Na stoliku stały czyste szklanki do góry dnem. Odwrócili je i czekali, aż ktoś się pojawi.

Zza zasłony wychyliła się rumiana twarz właścicielki. Piękna kobieta o okazałym hiszpańskim nosie i żwawych ruchach, z włosami przewiązanymi chustką z tym samym wzorem co na obrusie, podeszła do ich stolika zamaszystym krokiem góralki, niosąc karafkę wody wyglądającej na lodowatą.

Postawiła ją dość nonszalancko na stole i zapytała, co chcieliby zjeść.

Rick przebiegł wzrokiem spis dań na tablicy i zamówił, na chybił trafił, cassoulet.

Kobieta ani drgnęła.

- Dla mnie to samo - odezwał się Jason.

Chłopcy spojrzeli na Anitę.

- A to dobre? - spytała dziewczynka.

- Bardzo dobre - odpowiedziała właścicielka. - A zatem trzy razy cassoulet.

- Dobrze - zgodziła się Anita, nieco rozeźlona na taki szybki sposób załatwiania klientów.

- Wino?

- Nie, dziękujemy - odpowiedział Jason. - Jest może cola?

- Nie ma.

- A woda gazowana?

- Też nie ma. Mamy wino albo wodę. Wodę już przyniosłam. Wino możecie zamówić.

- Woda wystarczy - powiedziała Anita.

Kobieta znikła za zasłoną. Jej kroki stukały po drewnianej podłodze jak uderzenia młotem.

- O rany, co za uprzejmość - odezwał się przejęty Rick.

- A ty chociaż wiesz, cośmy zamówili?

- Zamówiliśmy pierwszą pozycję wypisaną na tablicy.

Zza zasłony dał się słyszeć podejrzany szczeł. A potem

skwierczenie i zapach smażonego masła. Aż ślinka napływała do ust.

Jason nalał wszystkim wody i podczas gdy spoglądali sobie przez okno na placyk, zaczął omawiać sytuację.

- Wskazówki oczywiście kończą się tutaj - powiedział. - Od tej chwili musimy improwizować.

Rick wypił już trzy szklanki lodowatej wody, nie odzywając się.

- Książka mówi nam niewiele - ciągnął Jason. - A rysunki są niejasne. Po mężczyźnie, który ogląda się w lustrze, pojawia się ten sam mężczyzna, który spaceruje nad strumieniem.

- Punkt pierwszy: odnaleźć strumień - podsumowała Anita.

-1 co dalej?

- Dalej zobaczymy.

- Świetny plan.

Przez chwilę pomilczeli.

-Chciałabym wysłać wiadomość do mamy, ale nie wiem, co mam jej napisać - powiedziała Anita.

- Powiedz jej, że pomyliłaś samolot.

- Cześć mamo. Wszystko w porządku. Pomyliłam samolot. Przylecę jutro.

Fantastycznie - zadrwiła Julia.

Rick i Jason modlili się w duchu, żeby pomysł ze szkolną wycieczką do Londynu okazał się jakoś wiarygodny.

Nagle zasłona odchyliła się z głośnym szelestem. Ukazała się ta sama kobieta, co przedtem z trzema dymiącymi glinianymi miseczkami. Postawiła je na stole, wyciągnęła z kieszeni zapalniczkę, po czym zapaliła świeczkę stojącą na środku stołu.

Bez słowa odwróciła się i odeszła, pozostawiając dzieci wpatrzone w dziwną zawartość miseczek.

Cassoulet był to rodzaj gęstej zapiekanki w kolorze ce-glastym, z której sterczały kawałki kości i...

- Fasola - stwierdził Jason. Zanurzył już łyżkę w dymiącej potrawie i mieszał, wydobywając różne składniki i próbując je zidentyfikować. - Ziemiaki. Warzywa. Kawałek mięsa. Kawałek dziwnego mięsa. O Boże.... to wygląda jak... świńska nóżka.

- Bo to jest świńska nóżka - powiedział Rick, mieszając w swojej misce. Spróbował pierwszą łyżkę. Parzyła. Parzyła, że aż strach.

Anita odsunęła z niechęcią swoją miskę z cassoulet.

- Nie sądzę, by mi to pasowało - powiedziała.

Wyciągnęła z plecaka zeszyt książeczkę Morice'a Moreau.

- Posunę się trochę z robotą - wyjaśniła, otwierając książeczkę.

- Strzeż się tego typu na stosie poduszek... - uprzedził ją Jason. - Dziś go widziałem!

- Naprawdę? I co ci powiedział?

Chłopcy mieli już porządnie zaczerwienione policzki, a oczy załzawione, ale nie przestawali zajądać z apetytem. Anita poprosiła Jasona, żeby opowiedział jej o rozmowie, jaką odbył z mężczyzną na stosie poduszek, a potem przekartkowała zeszyt, by się przekonać, czy równocześnie jeszcze ktoś inny zagląda do książeczki.

Skupiła się na stronie z podróżnikiem, który spacerował nad strumieniem, potem przekartkowała dalsze strony aż do tych czystych, jakby Morice Moreau nie miał nic więcej do narysowania. Albo może nie miał już czasu, by to zrobić.

Jason wytarł sobie usta serwetą.

- Jesz swoją zupę, czy nie?

Anita pokręciła przecząco głową.

- Jednak to dziwne - powiedziała. - Dlaczego nie skończył swojej książki?

Jason przechylił się nad stołem, żeby zabrać od Anity cassoulet.

- Jak ty nie jesz, to my się nią podzielimy.

Wziął w ręce glinianą miskę i uniósł ją nad stołem. Kiedy przynosił ją nad płomieniem świecy, sparzył sobie rękę i drgnął.

- Uważaj! - krzyknęła Anita.

Za późno. Jason potracił świecę glinianą miską i przewrócił ją wprost na otwarte stronicie zeszytu.

Anita zareagowała błyskawicznie. Zgasila natychmiast płomień, potem spiorunowała Jasona wzrokiem, całkiem jak Julia.

- Nie mógłbyś bardziej uważać? Niewiele brakowało, a spaliłbyś całą książkę.

- Przepraszam... - wyjąkał Jason. - Nie zrobiłem tego specjalnie.

- Kurczę! - wykrzyknął Rick. - Spójrzcie na te strony!

Anita spojrzała na zeszyt. Wokół miejsca, gdzie upadła

świeca, na pustych dotąd stronach zaczęły ukazywać się dziwne plamy

Tyle że to nie były plamy, lecz rysunki. Stylizowane rysunki, które ciepło płomienia wydobyło na powierzchnię.

- Sok z cytryny - odgadł natychmiast chłopiec o rudych włosach. - Jacy byliśmy głupi! To nie były czyste strony! To były strony zapisane sokiem z cytryny! Nie przesyłaliście nigdy żadnej wiadomości zapisanej sokiem z cytryny?

Jason i Anita pokręcili głowami.

- Maczasz pióro w soku z cytryny, piszesz, co chcesz, a kiedy sok wyschnie, napis znika. Żeby odczytać tekst, musisz ogrzać papier.

- A sok z cytryny zachowa się przez ponad pięćdziesiąt lat?

- Może nie użył soku z cytryny, lecz czegoś w tym rodzaju, jakiegoś innego atramentu sympatycznego. Ostatecznie był malarzem, nie? I... popatrzcie!
Na stronie, gdzie był szkic jeżozwierza i litery TER i R, ukazał się teraz rysunek bardziej kompletny. Jeżozwierz znajdował się pod arkadami rzymskiego akweduktu.
Litery, dotąd rozrzucone na stronicy bez ładu i składu, teraz układały się w krótkie zdanie:
^ gospoda ze świeczkami _ ^
Trzy kolumny wskażą dróżkę w trawie, która prowadzi do granicy wody.
- Kurczę! - zawołała Anita. - Coś podobnego!
- Szybko! - prawie wrzasnął Jason. - Przejeźdź teraz świeczką po następnych stronach!
Uważając, żeby nie podpalić książki, zbliżyli płomień do papieru, ujawniając dalsze napisy i rysunki. Na pierwszej z czystych stron ukazał się rysunek uskrzydłonej kobiety z mieczem w dłoni.
Jak tylko dojdziecie do granicy, okażcie swoje dokumenty, żeby przejść dalej.
Następnie Morice Moreau narysował bramę, która wychodziła na małe jezioro.
Jeśli brama będzie zamknięta, pamiętajcie, żeby nie stukać.
Natomiast nie będzie niegrzecznie zamknąć wodę.
Dalej widać było zarys jakiejś wysokiej wieży otoczonej drzewami, wokół której unosiły się w powietrzu spadające ludziki.
Gorąco radzimy nie ustawać podczas wspinaczki: Strzeżcie się złudnych schronisk.
Kiedy właścicielka powróciła, żeby zabrać naczynia, zobaczyła dzieci pochylone nad książką i nad świeczką.
Odchrząknęła znacząco. Cała trójka w jednej chwili oderwała się od zeszytu.
- Życycie sobie jeszcze czegoś? - zapytała
- O, tak... Jednej rzeczy... - odparł Jason, podczas gdy Anita chowała pospiesznie książkę. - Czy jest tu w pobliżu strumyk?
- Chodzi o stary rzymski akwedukt?

Rozdział 9 SEZON MAŁP

To nie była jedna małpa.
To było całe mnóstwo małp. Co najmniej z dziesięć biegało po dachach hal Arsenału, zeskakiwało na ziemię i harcowało po trawnikach otaczających baseny portowe.
Kiedy ta pierwsza wpadła między nogi Eca, przerażony Podpalacz odskoczył i krzyknął.
- Precz stąd, bydlaku!
Ale małpa popędziła na czterech łapach po podłodze z żywicy syntetycznej i wskoczyła na przezroczysty sześcian z plastiku, hałasując i nawołując towarzyszek.
Eco zatrzasnął drzwi wejściowe, powrócił na swoje miejsce i chwycił za swój parasol - miotacz ognia.
-Powiedziałem wynocha! - zagrzmiał, naciskając rączkę. - Zrozumiałaś? A ty chłopcze, nie ruszaj się!
Tommaso nie odpowiedział i zniknął po drugiej stronie sześcianu. Usłyszał odgłos naciskanego spustu i ujrzał potężny płomień buchający z parasola Podpalacza. Małpa zawyla i zeskoczyła na posadzkę.
Tommaso odchylił się gwałtownie i wylądował na ziemi.
-WOOOON!!!! - wrzasnął Eco, podnosząc znowu dymiący parasol.
Sześcian zaczął się topić jak roztopione masło i po całej hali rozszedł się straszliwy smród palonego plastiku. Małpa rzuciła się do ucieczki, a Eco puścił się za nią.
Tommaso podniósł się, niemal machinalnie złapał pelerynę i maskę hrabiego Cenere i zaczął uciekać.

- CHODŹ TUTAJ! - krzyknął Eco.

Tommaso nie wiedział, czy zwracał się on do niego czy do małpy. W każdym razie nie tracił czasu na zastanawianie się nad tym i rzucił się w kierunku przeciwnym niż ten, gdzie widział miotającego się Podpalacza.

Płomień buchnął drugi raz. Część ściany poczerniała od dymu. Małpa wrzasnęła, wspinając się na jedną z miedzianych rur i stamtąd wdrapała się na belki stropu.

-A TY SIĘ NIE RUSZAJ! - zawołał Eco do Tom-masa.

Ale chłopiec już nie słuchał. Przebiegł przez halę najprędzej jak tylko mógł, dobiegł do części, do której nie docierało już światło umieszczonych gdzieś wysoko neonowych lamp.

Po omacku szukał wyjścia.

Eco wystrzelił za nim płomieniem po raz trzeci, kierując go w górę.

Posuwając się wzdłuż ściany hali, Tommaso natrafił na zamknięte drzwi. Spróbował je otworzyć, ale odpowiedział mu tylko brzęk łańcucha i kłódki. Zaczął biec dalej, odnalazł drugie drzwi i wpadł do innej hali. Pomieszczenie było ogromne i przeraźliwie puste, tak jak poprzednie. Przebiegł przez otwór mogący pomieścić lokomotywę i znalazł się w trzecim pomieszczeniu, zupełnie takim samym jak oba poprzednie.

W gęstej szarości mroku, który go otaczał, Tommaso dostrzegł nagle białe pasmo światła dnia wpadające przez szparę spod blaszanych drzwi. Lewy dolny narożnik masywnych drzwi był mocno zagięty do góry, całkiem jak w książce, kiedy chce się zaznaczyć odpowiednią stronę. Przez to zagięcie można już było dostrzec żwir na dziedzińcu wokół Arsenалу.

Otwierała się droga ucieczki.

Tommaso próbował dać nura w ten otwór, ale okazał się on za wąski, żeby można było przez niego przecisnąć się na drugą stronę.

Chłopiec obejrzał się za siebie. Słyszał głos Eca, który wrzeszczał:

- RANIERI STRAMBI! RANIERI STRAMBI!

Serce zaczęło mu walić w piersi jak młotem. Wcisnął w otwór maskę i pelerynę hrabiego Cenere, potem chwycił za krawędź blachy i próbował pociągnąć ją ku górze.

BUCH! - fuknął znowu parasol Eca, buchając ogniem z końca hali, tej, w której znajdował się Tommaso. Przez chwilę meduza światła rozlała się w szarej ciemności, sięgając swoimi gorącymi mackami prawie do samego chłopca.

Tommaso ciągnął z całych sił, a miękka blacha zaginała się, zaginała, zaginała...

Z zębami zaciśniętymi z wysiłku, z czołem zroszonym potem, chłopiec czuł już, że prawie mu się udało.

Prawie... UDAŁO SIĘ!

Puścił nagle blachę i poczuł ostry ból w rękach. Padł twarzą na ziemię i przez kilka długich sekund leżał tak, z dłońmi pulsującymi i brudnymi od rdzy.

Wczołgał się teraz w otwór, który właśnie powiększył. Głowę miał już po drugiej stronie i zobaczył dziedziniec zarośnięty zielskiem i dachy hal, po których harcowały oszalałe małpy.

W oddali sterczał żuraw stoczni podobny do wieży wiertniczej szybu naftowego.

Wczołgał się dalej, splaszczył, żeby przecisnąć ramiona, rozdzierając sobie koszulę i dalej sięczołgał. Czuł teraz żwir i zielsko pod policzkami i już był pewien, że się wydostanie.

Ramiona przecisnął z trudem, tak, że zdarł sobie na nich mocno skórę.

Nadal jednak czołgał się przez otwór. Tułów, żołądek, biodra...

Udało się! Przeszedł!

Natychmiast zerwał się na nogi.

-Udało się! - krzyknął, zgarniając z ziemi pelerynę i maskę hrabiego Cenere.

Był wolny.

Zobaczył lustro wody laguny i skierował się pędem w jej stronę.

Okrzyżował róg hali. Potem oparł się o mur.

Oddychając ciężko, patrzył w niebo. Zauważył, że było ono jeszcze ciemniejsze niż kilka godzin wcześniej. Zupełnie jakby to nie był poranek.

Zaczął iść wzdłuż ściany. Za każdym razem, gdy mu się zdawało, że słyszy głos Eca, przystawał. Kiedy widział światło płomienia, też przystawał.

I za każdym razem, gdy tak przystawał, próbował znaleźć wyjaśnienie tego, co się działo. Płomienie z parasola? Małpy w Wenecji?

Rozglądając się dokoła, żeby się upewnić, że nikt go nie widzi, przebiegł odległość między dwiema halami. Przeciął ją bez tchu. Nie wiedział, czy to miejsce rzeczywiście było tak opustoszałe jak się zdawało czy też było strzeżone przez innych Podpalaczy. Posłyszał jakiś hałas, drapanie pazurami po ceglach, potem mignął mu obok jakiś cień, zatrzymując się kilka kroków przed nim.

To była inna małpa.

Rozdział 10

DZIWNA PRZEWODNICZKA

Tommaso nie mógł w to uwierzyć.

Przecież nie było małp w Wenecji.

Był skrzydlaty lew na placu św. Marka. Były konie na fasadzie katedry. Był smok św.

Teodora, który wyglądał jak aligator.

Lew. Konie. Aligator. Smok.

Ale żadnej małpy.

Z wyjątkiem tej Morice'a Moreau: małpy, którą przedstawił na freskach w Domu Bazgrołów.

Ale teraz była jeszcze jedna, oto stała przed nim, ostrożna, z wytrzeszczonymi oczami w kolorze bursztynu, z wargami uniesionymi i odsłaniającymi dwa rzędy drobnych ząbków.

Tommaso zrobił krok w lewo. Zwierzę tak samo, jakby chciało mu zagrozić drogę. Chłopiec zrobił więc krok w prawo. Małpa zrobiła dokładnie to samo.

Zupełnie jakby chciała mu dać do zrozumienia, że „ze mną nie wygrasz, tędy nie przejdiesz”.

- Morice - powiedział Tommaso, wskazując na siebie. - Ja jestem przyjacielem Morice'a. Morice'a Moreau.

Małpa obnażyła jeszcze bardziej zęby i zasyczała:

- FFFSHHH! SKRII SKRII!

- Przyjaciel. Jestem przyjacielem.

- MRRRIIC! - wrzasnęła małpa.

- Tak, tak! - zawołał chłopiec, bo wydawało mu się, że rozpoznał w tym dźwięku imię rysownika. - Morice! Przyjaciel Morice'a!

- MRRRIIC!

„To niemożliwe” - pomyślał Tommaso. „To jest dzika małpa, wyrosła między opuszczonymi halami Arsenалу. To nie może być małpa Morice'a Moreau! Ile to lat minęło od śmierci Moreau? Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt?”

A inne małpy... skąd one się biorą? I dlaczego nikt ich przedtem nie widział? Tyle pytań i żadnej odpowiedzi. Jego umysł gorączkowo pracował.

BUCH! Posłyszał wybuch z parasola Eca miotającego ogień.

- Morice! - krzyknął rozpaczliwie Tommaso, oglądając się za siebie. Wydawało mu się, że poczuł gorący od-

^^ dziwna przewodniczka _ ^

dech ognia na swojej twarzy. Zrobił krok do przodu, w stronę małpy. - Zaprowadź mnie do Morice'a!

Zwierzę stanęło na dwóch łapach, jakby zastanawiając się, co zrobić. Dziwaczne sylwetki pozostałych tańczyły dokoła na dachu.

Nagle małpa obróciła się i zaczęła biec na czterech łapach po nierównym terenie. Przebiegła kilka metrów i zatrzymała się, by spojrzeć na chłopca.

„Chce, żebym za nią pobiegł!” - pomyślał Tommaso z biciem serca.

Zrobił kilka kroków w stronę małpy.

Małpa się zgarbiła i skierowała w stronę gładkiej, rozległej laguny.

Tommaso, nie zastanawiając się, pobiegł za nią.

Przebiegli przed wieloma szeregami hal i pustych dziedzińców. Dobiegli do basenów portowych i posuwali się wzdłuż nich dalej. Ich sylwetki odbijały się w nieruchomej wodzie: małpa przodem, a tuż za nią Tommaso z peleryną i maską hrabiego Cenere pod pachą.

Światła, jakie widzieli pośrodku laguny, to były zamglone światła wyspy San Michele, weneckiego cmentarza.

Wyspa zmarłych.

Małpa biegła szybko, jak gdyby dobrze знаła drogę. W regularnych odstępach, wzdłuż basenów portowych

były przystanie dla łodzi, ale nie było widać żadnej przycumowanej.

Zamulona woda w lagunie uderzała rytmicznie o kamienne nabrzeże, nanosząc na nie pęknięcia.

Baseny portowe kończyły się zadaszonym budynkiem: stary dach oparty na kolumnach. Na ziemi leżały porzucone zwoje grubych lin okrętowych obok starych sieci pozarastanych małżami. Pod dachem stały łodzie osłonięte plastikowymi plandekami. Odór ryb i alg był prawie nie do zniesienia. W cieniu dachu woda miała czarny kolor atramentu; sylwetki innych małp obserwujących ich z góry rysowały się ostro na niebie.

„Więc to jest ich legowisko” - pomyślał Tommaso, spoglądając na łodzie nakryte płachtami.

„Tutaj się ukrywają, na wodzie”.

Jego przewodniczka zatrzymała się przed czymś w rodzaju gondoli, nakrytej płótnem mocno zniszczonym przez czas i przywiązanej do pomostu sznurkiem, który wydawał się cienki jak pajęczyna.

- MRRRIIC! MRRRRICC! - zaczęła syczeć, skacząc po kamieniach.

Wyglądało to tak, jakby usiłowała go zachęcić, żeby wsiadł do gondoli.

Tommaso położył na ziemi maskę i pelerynę hrabiego Cenere i przechylił się nad czarną wodą, żeby uchwycić kraj płótna nakrywającego łódź.

Z głuchym dźwiękiem rozdieranego prześcieradła płótno podniosło się i opadło na wodę, rozpościerając się jak wielki liść, by po chwili zatonać.

-1 co teraz?

-MRRRIIC! - krzyknęła jeszcze głośniejszą małpa, aż chłopcu ciarki przeszły po krzyżu.

Tommaso przyklęknął na przystani i pochwycił cienki sznurek, przyciągając bliżej łódź.

- Do stu tysięcy... - szepnął. Dotknął czubkiem palców czarnego drewna. - Ty... wiedziałas o tym? - skierował pytanie do małpy.

Zwierzę przechyliło główkę najpierw w jedną, potem w drugą stronę, wpatrując się w niego swoimi bursztynowymi oczkami.

Palce Tommiego ześlizgnęły się wzdłuż lśniącego drewna łodzi aż wyczuły na dziobie dwie połączone intar-sjowane litery. Rozpoznał je natychmiast.

To były „P” i „D”.

Małpa wskoczyła na łódź i wydała głośny okrzyk. Patrzyła przez chwilę na Tomiego mądrymi oczami. Potem przeskoczyła na sąsiednie łodzie i znikła.

Nie minęło dziesięć sekund, a wszystkie oczy, które dotąd obserwowały Tommasa, gdzieś znikły, przepadły w tajemnych przejściach magicznego miasta.

Chłopiec był teraz sam, z płaszczem i maską hrabiego Cenere w rękach.

Kucał przed gondolą Petera Dedalusa zbudowaną w osiemnastowiecznej Wenecji, poza czasem.

Podniósł się, wsiadł do tej dziwnej łodzi i popedałował wolno, pozwalając, by gondola go prowadziła.

Doskonały mechanizm, skonstruowany przez zegarmistrza z Kilmore Cove ponad trzy wieki wcześniej, działał gładko, jakby dopiero co został naoliwiony. Łódź przypominała rower wodny.

Tommaso płynął wzdłuż domów dzielnicy Castello, całkiem jakby we śnie. Podczas gdy mijaly szybko minuty tego dziwnego poranka, uświadomił sobie, że już się nie boi. Nie obawiał się, że go schwytają Podpalacze ani że ktoś zauważy, że nie ma go w szkole. Wsunął rękę do kieszeni w poszukiwaniu swojej komórki, ale jej nie znalazł. Potem przypomniał sobie, że przecież Eco mu ją odebrał. Teraz nie mógł już porozumieć się z Anitą. Pedalując, pozostawił za sobą po lewej stronie dzielnicę Castello i dopłynął do Fondamenta dei Mendicanti. Skręcił w jeden kanał, potem w drugi i nagle niespodziewanie wpłynął na wijący się jak wąż wodny Canal Grande, iskrzący się teraz odblaskami słońca. Przepłynął przez niego jak pchła wodna, terkocząc i kierując się na południe, ku Dorsoduro.

Nie chciał iść do szkoły ani wracać do domu. Nie. Nie tego poranka.

Nie mógł wrócić do domu.

Teraz to rozumiał. Stał się częścią historii Ulyssesa Moore'a. Było zatem tylko jedno miejsce dokąd mógł się udać. No, może dwa.

Pierwsze to Dom Bazgrołów, gdzie wszystko się zaczęło. Musiał tam dotrzeć szybko, zanim wróca Eco i Podpalacze. Musiał tam pójść, żeby zostawić wiadomość mamie Anity.

A także dlatego, że przyszedł mu właśnie do głowy pewien pomysł.

To drugie miejsce, do którego miał się skierować, to było miejsce istniejące jedynie poza czasem i nie znajdowało się na żadnej mapie Wenecji.

Tommaso pedałował szybko. Wiedział, że musi się spieszyć.-

Najpierw Dom Bazgrołów.

A potem calle deli'Amor degli Amici.

Miejsce, w którym według Ulyssesa Moore'a kryły się Wrota Czasu Petera Dedalusa.

Rozdział 11

WANDAL

Światło szarego londyńskiego poranka dotarło do biura Malariusza Wojnicza niejako przypadkiem, a wślizgnąwszy się do gęstego i zatęchłego powietrza, zostało przez nie nieomal stłumione.

Najsurowszy krytyk literacki w mieście, mężczyzna, który jednym pociągnięciem pióra mógł zdecydować o losie dziesiątków pisarzy, siedział na szczycie podnoszonego fryzjerskiego fotela, który pozwalał mu dosięgnąć do poziomu biurka.

Bo Malariusz Wojnicz był bardzo niski.

Najróżniejsze dyplomy i najbardziej prestiżowe nagrody wisiały na ścianach jego gabinetu jak pozostałości minionej epoki.

Pozłacane ramy, od lat nieodkurzane, mocno pociemniały w zatęchłym powietrzu. Książki wyglądały, jakby je wyladowano z wózecka w rogu gabinetu i zwałono bezładnie jedne na drugie jak stos odpadków. Może kiedyś, w przypływie ciekawości, Malariusz Wojnicz podniesie którąś z nich, popatrzy na okładkę, przeczyta nazwisko autora, przerzuci w roztargnieniu pierwsze strony w poszukiwaniu nieuniknionego błędu stylistycznego i znalazłszy go, bezapelacyjnie ją utraci.

Mógłby ją pochwalić jako majstersztyk mniejszego kalibru. Jako arcydzieło chybione. Rzecz ewentualnie do przeczytania. Niezły pomysł. Drobiazg dający się nawet czytać.

Właśnie, może akurat tak. Mógłby tak zrobić. Zależnie od humoru.

A co do humoru tego poranka, to krytyk był szczególnie ożywiony. Czuł się wprost... naelektryzowany. Nie z powodu pożaru w nocy, który puścił z dymem olśniewające pomysły Szkatulek Przygody, ile raczej z powodu rozmowy, jaką dopiero co odbył z tym bystrym chłopakiem, Jasonem.

Jego imię dopisał na listę, którą miał przed sobą.

Swoją czarną listę.

Potem przyjrzał się mapie Europy, którą trzymał rozłożoną obok listy. Przypiął na niej trzy szpilki: jedną na Kornwalii, drugą na Londynie i trzecią na Wenecji.

Szpilki przytrzymały też karteczki: karteczka na Kornwalii nosiła nazwisko Ulyssesa Moore'a, zdege-nerowanego wnuka założyciela ich klubu, „romantycznego marzyciela”. Jeśli było coś, co łączyło ze sobą Malariusza Wojnicza i dziadka Ulyssesa Moore'a, był to zmysł praktyczny. Co oznaczało: żadnych snów, żadnych marzeń, szybkie podejmowanie decyzji.

Decyzja na teraz była następująca: powstrzymać natychmiast możliwy powrót Podróżników w Wyobraźni.

- Zatrzymam was! Zatrzymam! - zagrział Malariusz Wojnicz.

Było jednak coś, czego doktor Wojnicz nie mógł zaklasyfikować w swoich posegregowanych alfabetycznie szufladkach z tabliczkami.

To była wątpliwość.

A ta wątpliwość nie znajdowała się w szufladce pod literą „W”. Tkwiła w jego głowie. I brzmiała jak... klęska.

Zabębnił palcami po biurku, powracając myślami do rozmowy dopiero co .odbytej za pośrednictwem strony w tej książce.

I ręka Malariusza Wojnicza sięgnęła na stół, chwytając egzemplarz zeszytu Morice'a Moreau. Dwadzieścia stron z instrukcjami, jak dotrzeć do Kraju, który umiera.

Arkadii.

Ten zeszyt ocalał przez czysty przypadek podczas likwidacji Klubu Podróżników w Wyobraźni.

Większość sprawozdań z niemożliwych podróży, zagubionych dróg, grot otwartych na nie wiadomo jakie podziemne imperium, wypraw do miast zatopionych w morzu czy ukrytych w najbardziej niedostępnych górach, została pięknie wymieciona.

Ale ta mała, malutka książeczka pozostała. I nie wiadomo, jak trafiła na biurko doktora Wojnicza. I tylko po to, żeby mu nie dawać spokoju.

Żeby ciągle potęgować w nim niepokój.

Ta książeczka pozwalała na rozmowę z innymi czytelnikami, jeśli właśnie teraz pochylali się nad tymi samymi stronami.

I to działało.

Naprawdę działało.

Co zatem... należało spalić, żeby rozwiązać problem? Wszystkie egzemplarze książeczki? Malariusz Wojnicz myślał nad tym ostatnio od wielu dni. Odkąd otrzymał tę poruszającą wiadomość z Wenecji i wysłał Braci Nożyców do Kornwalii.

„Siedźcie tę dziewczynkę” - rozkazał im. A teraz czekał na ich raport. Czekał na kolejne fakty, żeby zdecydować o dalszych ruchach.

Ale nie czekał na telefon.

A ten właśnie zaczął dzwonić.

Pomajstrował przy dźwigni hydraulicznej swojego fryzjerskiego fotela, opuścił go na poziom szufladki z literą „T” i wyciągnął telefon.

Podniósł słuchawkę:

- Wojnicz.

To był Eco.

- Jest pewien problem, panie doktorze Wojnicz - odezwał się Podpalacz z Wenecji.
- Jaki problem?
- Małpy - odpowiedział Eco.
- Co to znaczy „małpy“?
- To znaczy, że zostałem zaatakowany przez wielką gromadę małp, proszę pana. I, bardzo mi przykro, ale zgubiłem małego Ranieri Strambi. Ale to niestety jeszcze nie wszystko. Ten chłopiec uciekł, w dodatku zabierając ze sobą pelerynę i maskę hrabiego Cenere.
- Musisz je odzyskać! - krzyknął Wojnicz. - Natychmiast. Znajdź chłopca!
- Szukałem go, proszę pana. Nie wrócił do swojego domu. I nie poszedł do szkoły...
- Idź do domu Moreau.
- Byłem tam. Ale się spóźniłem. Tommaso Ranieri Strambi był już tam, jestem tego pewien, ponieważ... Wiem, że to może się wydać dziwne, doktorze Wojnicz, ale chłopiec nałożył biały werniks na freski Morice'a Moreau. On je... zniszczył!
- Malariusz Wojnicz zacisnął dłoń na słuchawce.
- Biały werniks? Chcesz powiedzieć, że zniszczył malowidła Moreau?
- Zachował się jak prawdziwy wandal, proszę pana! Będzie potrzeba całych miesięcy, żeby to wszystko znowu oczyścić!
- A co na to konserwatorka? Pani Bloom?
- Jeszcze niczego nie widziała, ale myślę, że wkrótce nadejdzie, proszę pana. I teraz będziemy musieli zapłacić o wiele więcej, żeby odrestaurować budynek.
- Ale dlaczego ten przeklęty chłopak to zrobił? - spytał Malariusz Wojnicz. - Co chciał w ten sposób osiągnąć?
- Nie wiem, ale...
- Co mu powiedziałaś?
- Nic! Nie może wiedzieć, że to my płacimy za restaurację domu. Nikt tego nie wie. A poza tym... doktorze Wojnicz... tu, w Wenecji, dzieją się rzeczy dziwne. Małpy... nigdy wcześniej nie widziałem małp w Arsenale!
- Nie opowiadaj głupstw, Eco. Małpy to tylko zwierzęta.
- Doktorze Wojnicz... są sprawy, których nie potrafię sobie wytłumaczyć. Mówię poważnie. Musimy raz na zawsze rozwiązać „problem Morice'a Moreau“.
- To właśnie próbujemy zrobić, Eco. Odnawiamy freski, żeby zrozumieć, co Moreau chciał na nich pokazać. I dlaczego.
- „Żeby rozwiązać zagadkę mówiącego zeszytu“ - dodał w myśli Malariusz Wojnicz. „Żeby rozwiązać tę przeklętą zagadkę!“.
- Jakie rozkazy, doktorze Wojnicz?
- Szukaj tego chłopaka! - rozkazał szef Podpalaczy. - Szukaj go wszędzie! Nie mógł się rozplątać.
- Próbowałem, ale... Proszę zaczekać momentik, doktorze Wojnicz - powiedział jeszcze Eco. W słuchawce dała się słyszeć melodyjka z Indiany Jonesa. - Proszę posłuchać, co za zbieg okoliczności... Otrzymałem wiadomość, znaczy... Tommaso Ranieri Strambi otrzymał wiadomość.
- Wiadomość? Jaką wiadomość?
- Od Anity Bloom. Pisze: Przybyliśmy do Tuluzy i pozbyliśmy się dwóch Podpalaczy. Wsiedliśmy w autobus do M. Spróbuj uspokoić mamę. Ucałowania. A.
- Tuluza? A co ma do tego Tuluza? - dopytywał się Malariusz Wojnicz, wytrzeszczając oczy nad rozłożoną przed sobą mapą.
- A o jakich to Podpalaczach ona pisze, doktorze Wojnicz?

GRANICA WODY

Trzy postacie z plecakami podchodziły z M. ścieżką, która ginęła w górach. Wędrowcy trzymali się prawej strony strumienia i maszerowali różnym krokiem poprzez złociste pola. Nie przestawali rozmawiać, zamieniając się często miejscami. Zazwyczaj to Rick szedł przodem, nadając tempo, Anita w środku, opowiadając o Wenecji i o życiu we Włoszech, a na końcu Jason, nieustannie żartujący, opowiadający głupawe dowcipy, którymi ich rozśmieszał. W ich wędrowaniu była jakaś beztraska i godny pozazdroszczenia spokój. Nie oglądali się nigdy za siebie, lecz posuwali się ścieżką pewni, że dobrze interpretują wskazówki przewodnika.

Od czasu do czasu Anita zatrzymywała się, aby wysłać SMS do Tommiego. Włączała komórkę tylko na czas niezbędny dla zapisania wiadomości i przesłania jej, unikając odczytywania wiadomości przychodzących. Obawiała się, że ujrzy imię mamy albo taty i pogłębią się jeszcze jej wyrzuty sumienia, bo przecież dała im prawdziwe powody do zmartwienia.

Tymczasem pisanie do Tommiego napełniało ją pewnym spokojem. To była teraz jedyna łączność z. jej miastem.

Kiedy tak się nad tym zastanawiała, polna ścieżka niepostrzeżenie przeszła w leśną. Zaczęli podchodzić pod górę przez gęsty las, z drzewami o sękatych pniach i korzeniami owiniętymi wokół kamieni jak węze.

- No, to jesteśmy w lesie... - odezwał się Jason, przypominając sobie rysunek w zeszycie. - Jesteśmy na właściwej drodze, widzicie?

Las pachniał mchem i wilgotnymi paprociami. W miarę jak szli coraz wyżej, strumień stawał się coraz węższy, tak że Jason w kilku miejscach mógł się popisywać i przeskakować na drugi brzeg. Rick za każdym razem przekonywał go, żeby tego nie robił, bo trawa na obu brzegach jest wilgotna i gęsta i łatwo poślizgnąć się na kamieniach.

Anita się uśmiechała. Podobał się jej zmysł praktyczny Ricka i zgadzała się z nim pod każdym względem, ale

granica wody

nie potrafiła oprzeć się urokowi żywiołowości Jasona, temu, jak czasem okazywał się niezwykle dzielny albo zabawnie niezdarne.

Podchodzili.

Pięli się tak coraz wyżej i wyżej.

W końcu wyszli na płaskowyż, gdzie nad strumieniem przerzucony był most z białych kamieni.

-I co dalej? - spytał Rick, rozglądając się wkoło. - W którą stronę idziemy?

Przed nimi wznosiła się naga ściana skalna, wysoka i stroma jak mury zamku obronnego. Ścieżka, którą dotąd szli, urywała się zaraz za mostem. Garstka okrągłych, zbitych, brązowych bobków na ziemi świadczyła o przejściu tędy daniela. Powietrze wypełniało jednostajne i natrętne cykanie świerszczy.

Jason przebiegł przez most i zawołał Anitę i Ricka.

Po drugiej stronie strumienia znajdowały się ruiny świątynki, kiedyś prawdopodobnie kapliczki maryjnej na skrzyżowaniu dróg.

Kamienny relikwiarz podtrzymywały trzy małe kolumnienki.

- Trzy kolumny wskażą dróżkę w trawie, czyż nie? - zacytował Jason wierszyk, wskazując dróżkę biegnącą przez płaskowyż. - Moim zdaniem trzeba iść tędy.

I tak wkroczyli w morze traw.

Po godzinie marszu zaczęli odczuwać zmęczenie. Droga prowadziła na południe, ciągle na tej samej wysokości. Po lewej mieli doliny schodzące ku równinie, po prawej rysowały się wysokie turnie.

Łąki były usiane wielkimi margerytkami, odmianą, jakiej dzieci nigdy przedtem nie widziały. Miały grube, postrzępione listki, pokryte gęstym puszkciem, a płatki - wszystkie białe z wyjątkiem jednego, w kolorze ciemno-fioletowym. Anita zebrała garść tych dziwnych kwiatków na pamiątkę.

Nie spotkali żywej duszy, a jedyne odgłosy cywilizacji to był daleki stukot jadącego pociągu i dzwonki stada owiec, którego jednak nie udało się im zobaczyć.

Nagle płaskowyż, po którym wędrowali, przecięły pozostałości rzymskiego akweduktu ze starymi arkadami porośniętymi bluszczem i korytem na wodę zatkanym ptasimi gniazdami i porośniętym krzakami. Akwedukt schodził w dolinę i pokonywał wzgórza, aż nikał w dalekim wąwozie.

Odnaleźli zatem „granicę wody” Morice'a Moreau.

Kamienie akweduktu były ciągle doskonale ze sobą spojone, mimo upływu niemal dwóch tysięcy lat, i rzeczywiście mogły stanowić umowną granicę wody.

Chociaż zrujnowany, akwedukt miał w sobie jeszcze dawne dostojeństwo i stanowił niezatarty znak antycznej cywilizacji pośród zielonej doliny porośniętej trawą.

Dzieci nie miały żadnej wątpliwości co do dalszej trasy: porzuciły teraz dróżkę i zaczęły iść wzdłuż akweduktu, zagłębiając się w cieniu gór.

-Och, doktorze Wojnicz, stało się coś... coś nieprawdopodobnego... - mówił kędzierzawy w kabinie telefonicznej na placu Kapitolu w Tuluzie. - Śledziliśmy ją aż do lotniska, a potem... zdecydowaliśmy się wsiąść do samolotu razem z nią i... zgubiliśmy tę dziewczynę. Mój brat uważa, że wsiadła do jednej z tych dorożek dla turystów, co to ciągną je te niemożliwie cuchnące konie.

Przed kabiną blondyn przyglądał się w rozróżnieniu jednej z ostatnich w mieście budowli z muru pruskiego, średniowiecznemu budynekowi z drewnianymi belkami, widocznymi w ceglanej ścianie fasady.

Widział swego brata, jak podnosi słuchawkę telefonu, jak wykręca numer, a potem kiwa głową; słyszał, jak powtarza w nieskończoność „przepraszam”, „bardzo mi przykro, doktorze Wojnicz” i „oczywiście, doktorze Wojnicz”. W końcu zobaczył, jak odkłada słuchawkę.

- I jak poszło?

Kędzierzawy przejechał dłonią po włosach.

- Jak poszło, pytasz? Powiedziałem mu, że nam przykro.

-A on?

- Nie obchodzi go to. Chciał się tylko czegoś dowiedzieć o Kornwalii. Czy znaleźliśmy Kilmore Cove.

-I powiedziałeś mu, że tak.

-I wtedy dopiero naprawdę się wściekł. Utrzymuje, że to niemożliwe. Że Kilmore Cove nie istnieje! Że nie może istnieć!

-Jeśli on tak mówi...

-Wyjaśniłem mu, jak się tam dojeżdża, a on na to: „Chcę to sam zobaczyć”.

- Tak powiedział? Że sam chce to zobaczyć?

-Tak właśnie. I... czekaj! Powiedziałem mu jeszcze o tych trzech smarkaczach, którzy pilnują domu za nas. To wtedy się trochę uspokoił. Potem, kiedy zacząłem mówić o Tuluzie, znowu się wściekł. I...

- To niech sobie goni tę trzynastolatkę. Ja już jestem za stary na coś takiego.

-I to jest nowina.

- Co? Że jestem za stary?

- Nie. Wygląda na to, że ta trzynastolatka, którą śledzimy, ma przyjaciela w Wenecji, do którego stale wysyła wiadomości. I stąd wiemy, że musimy natychmiast udać się do M.

- Dokąd?

- Do M. w Pirenejach. Jeździ tam autobus z Tuluzy. Tych troje udało się właśnie tam. Rozkazy dla nas brzmią: dogonić ich i śledzić.
- Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę?
- Nie - odparł kędzierzawy, ruszając zdecydowanym krokiem w stronę dworca autobusowego. - Rozkaz to rozkaz, nic na to nie poradzisz.

Rozdział 13

NIEPRZYJEMNE SPOTKANIE

Kilmore Cove było małym miasteczkiem wyrosłym wokół zatoki i malutkiego portu. Z jednej strony, ze szczytu urwiska Salton Cliff, górowała nad nim sylwetka Willi Argo z niewielką wieżą oraz parkiem o wiekowych drzewach. Z drugiej miasteczko obejmował wysunięty w morze język lądu, mały przylądek z latarnią morską Leonarda Minaxo. Pośrodku cisnęły się domy starej miejsciny, tak blisko jedne od drugich, że często wystarczało wychylić się z balkonu, by móc dosięgnąć balkonu domu z naprzeciwka.

Julia siedziała w przyczepie motocykla Nestora. Stary ogrodnik pokonywał zakręty głównej drogi, która biegła w dół, do miasteczka.

Rozdział 13

NIEPRZYJEMNE SPOTKANIE

Kilmore Cove było małym miasteczkiem wyrosłym wokół zatoki i malutkiego portu. Z jednej strony, ze szczytu urwiska Salton Cliff, górowała nad nim sylwetka Willi Argo z niewielką wieżą oraz parkiem o wiekowych drzewach. Z drugiej miasteczko obejmował wysunięty w morze język lądu, mały przylądek z latarnią morską Leonarda Minaxo. Pośrodku cisnęły się domy starej miejsciny, tak blisko jedne od drugich, że często wystarczało wychylić się z balkonu, by móc dosięgnąć balkonu domu z naprzeciwka.

Julia siedziała w przyczepie motocykla Nestora. Stary ogrodnik pokonywał zakręty głównej drogi, która biegła w dół, do miasteczka.

W kilka minut znaleźli się na placyku przed portem.

- Spotykamy się za godzinę - powiedział Nestor, zanim skierował motocykl na drogę ku latarni.

Julia odgarnęła włosy i wzięła głęboki wdech szczęśliwa, że znowu dobrze się czuje.

Weszła w jedną z ulic prowadzących w głąb miasteczka i w kilka minut doszła do placyku, pośrodku którego znajdowała się piękna fontanna. Po jednej stronie placu był urząd pocztowy, po przeciwnej - księgarnia Kalipso z szyldem łagodnie kołyszącym się na wietrze:

KALIPSO

DOBRE KSIĄŻKI OCALONE Z MORZA

Księgarnia była otwarta.

Julia podeszła do witryny, na próżno usiłując przez szybę dostrzec kogoś w środku. Wtedy nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi, uruchamiając delikatny dzwonek.

- Julia! - usłyszała jakiś głos.

- Cindy! - odpowiedziała, rozpoznając jedną z nielicznych przyjaciółek, jakie miała w miasteczku. Cindy była dziewczynką korpulentną, jasną i zawsze pogodną blondynką. - Co ty tu robisz? Zastępujesz Kalipso?

-Przychodzę tylko popołudniami... żeby księgarnia była czynna.

- Opowiedz mi wszystko.

- Och, nie ma nic do opowiadania. Kalipso wyjechała na piętnaście dni i poprosiła mnie, żebym zajęła się trochę księgarnią: otworzyła paczki z nowościami, zmieniła czasem książki na wystawie.

Julia rozejrzała się dokoła. W księgarni panował porządek i było wiele kolorowych nowości.

-Czym mogłabym ci służyć? - spytała ją Cindy. - Lektury stoją po tej stronie. Opracowania lektur... trzymamy je ukryte pod ladą, ale też są.

-No nie! Kalipso mi zawsze mówiła, że nie trzyma streszczeń.

- Tajemnica zawodowa! - odpowiedziała Cindy, puszczając do Julii oko. - Są ze wszystkich lektur.

-To skorzystam. A... są jeszcze jakieś inne sekrety, które powinnam poznać?

- Raczej nie - roześmiała się Cindy.

Rozmawiały o tym i o owym, aż Julia znalazła pretekst, by poruszyć temat, który leżał jej na sercu. Opisała przyjaciółce krótko książeczkę Morice'a Moreau i zapytała, czy przypadkiem nie widziała jej w księgarni.

- Nie wydaje mi się... - odparła Cindy po krótkim namyśle.

Podeszła do działu książek starych i używanych, które zajmowały cztery półki na ścianie w głębi, i dokonała szybkiego przeglądu.

- Jesteś pewna, że jest tu w księgarni?

- Wcale nie jestem pewna. Tak tylko przypuszczam.

- Może ktoś ją kupił.

- W takim razie obawiam się, że niemożliwe będzie jej odnalezienie.

- Oj nie, to wcale nie jest takie pewne! Kalipso jest w tych sprawach niesamowicie drobiazgową i prowadzi bardzo dokładny spis wszystkich sprzedanych książek.

- W gruncie rzeczy, Cindy... nie sądzę, żeby to sprzedawała. Myślę, że bardziej tu chodzi o rzecz... osobistą. O książkę, którą Kalipso mogłaby chcieć zatrzymać dla siebie. Nie wiem, czy wyrażam się jasno...

Cindy podniosła rękę do swego czerwonego i puciołowatego policzka.

- Jeśli chcesz, możemy jednak spróbować to sprawdzić w spisie. Albo...

Uniosła zasłonę znajdującą się za ladą, dając Julii znak, by poszła za nią. Znalazły się w małym pomieszczeniu prowadzącym do zamkniętych drzwi z błyszczącymi zamkami. Na widok drzwi Julia udawała całkowitą obojętność, ale zeszywniała i jej przyjaciółka to spostrzegła.

- Co się dzieje? - spytała.

- Nic. Doprawdy, nic.

Cindy sprawdziła pęki kluczy zawieszonych na ścianie na kilku wieszaczkach.

- Tu są klucze od domu i od urzędu pocztowego - powiedziała. - Kalipso wyjaśniła mi, których użyć w nagłej potrzebie.

- Cindy, ja nie myślę, żeby to...

-Powiedziałaś, że to jest książka osobista, czy tak?

Więc wskocz na chwilę do domu Kalipso i rzuć okiem. Nie myślę, żebyś chciała jej coś ukraść?

Julia przygryzła usta.

- Jasne, że nie. I to byłby najszybszy sposób na sprawdzenie, czy ona to ma.

- No właśnie. Idź, popatrz i wracaj. A ja nikomu o tym nie powiem.

Julia chwyciła klucze.

- Dobra. Wracam za pięć minut.

Cindy pokazała jej, który klucz jest od bramy wejściowej. Potem zapytała ją, czy wie, gdzie stoi dom Kalipso.

- Prawdę mówiąc, nie - przyznała Julia.

- Pokażę ci - uśmiechnęła się przyjaciółka. - Nawet po ślubie z Leonardem Kalipso nadal mieszka w swoim rodzinnym domu. Z powodu mamy.

- Mamy? Ma jeszcze mamę?

- Tak. Myślę, że to najstarsza osoba w całym Kilmore Cove. Mówią, że ma ponad sto lat. Teraz coś nie jest za dobrze z jej głową.

Julia pokiwała głową ze zrozumieniem, a jednocześnie ogarnęło ją dziwne zakłopotanie. Słyszała już o mamie Kalipso w dniu jej ślubu z Leonardem, ale nigdy jej osobiście nie spotkała. I myśl, że nastąpi to teraz, kiedy ona tak wtargnie do jej domu...

- A ona jest w domu? - spytała, choć czuła, że to głupie pytanie.
- Tak, chyba od lat nie podnosi się z łóżka. Kilka kobiet ma przy niej na zmianę dyżury.
- Rozumiem - Julia skinęła głową.

Stojąc w progu księgarni, Cindy wyjaśniła jej, jak ma dojść do domu Kalipso. Julia już miała iść, kiedy jeszcze obróciła się i z wahaniem zapytała:

- Cindy... jak ma na imię mama Kalipso?
- Ifigenia. Ale nie przejmuj się nią, bo jest głucha jak pień.
- Hej, małpeczko! - odezwał się chwilę potem czyjś beczący głos udający kogoś starszego. - To już wyzdrowiałaś?

Julia odwróciła się wolniutko, bo wiedziała, do kogo ten głos należał.

- Kogo to ja widzę... - burknęła na widok trzech kuzynów Flintów stojących w jednym szeregu na środku placu, na tle fontanny.

- To my możemy zapytać, kogo to widzimy. Chorą - powiedział mały Flint, szef bandy.

- Eee, taka tam chora... - odezwał się Flint średni, ramię bandy.
- A czy, jak jest chora, to nas nie zarazi, chłopaki?
- spytał wielki Flint, najgłupszy z całej trójki.
- O tak - uśmiechnęła się Julia. - Wystarczy, że kichnę i natychmiast się rozchorujesz.
- Słyszeliście, chłopaki? - zmartwił się wielki Flint.
- Zamknij się, głupi - przerwał mu mały Flint. - Daj mi mówić.

Wielki Flint wyciągnął z kieszeni skromny podwieczorek i zaczął zajadać.

- Co ty tu robisz, kręcąc się po Kilmore Cove, co?

- podjął mały Flint. - Czy nie powinnaś siedzieć w domu z tą swoją wysoką gorączką?
- A kto wam powiedział, że mam wysoką gorączkę?
- Twój brat.
- Już wyzdrowiałam.
- No, to czy nie powinnaś być w szkole? Albo odrabiać lekcje?
- Właśnie, czyż nie jesteś kujonem?

Julia wzięła się pod boki. Nie znosiła, jak brano ją za kujona. Irytowało ją to.

- Nie skarbie, nie jestem kujonem. I dziś nie odrabiam lekcji.
- Powiedziała „skarbie” - zauważył wielki Flint, z wrażenia przestając na chwilę przeżuwać.

Mały Flint zaczerwienił się. To był tylko moment, ale Julia natychmiast to spostrzegła..

Był to taki sam rodzaj zmieszania i zakłopotania, jaki malował się na twarzy Ricka za każdym razem, gdy tylko próbowała mu powiedzieć coś miłego. Tyle że w tym wypadku nie powiedziała zupełnie nic miłego.

- W każdym bądź razie nie odpowiedziałaś nam na pytanie - podjął mały Flint.
- Właśnie, nie odpowiedziała nam.
- Co robisz w miasteczku?
- Spaceruję. Czy to zabronione? A może muszę was prosić o pozwolenie?

Ci trzej spojrzeli po sobie.

- Chcecie, żebym was poprosiła o zgodę? Którego z was? Ciebie, Flint? - spytała, robiąc krok do przodu w stronę małego Flinta. Podniosła rękę z zamiarem położenia jej na ramieniu chłopaka, ale ten się natychmiast cofnął, jakby w obawie, że się zarazi.

- Zauważ, że my ciebie śledzimy, ślicznotko - powiedział, ze wzrokiem utkwionym w czubki swoich butów.

Tego się Julia nie spodziewała.

- Siedzicie mnie? A to dlaczego?

- Siedzimy całą waszą trójkę - uściślił wielki Flint, składając papier po podwieczorku. Julia zrobiła się jeszcze uważniejsza.
- Całą trójkę? Mojego brata, Ricka i mnie?

Mały Flint zaczerwienił się. To był tylko moment, ale Julia natychmiast to spostrzegła. Był to taki sam rodzaj zmieszania i zakłopotania, jaki malował się na twarzy Ricka za każdym razem, gdy tylko próbowała mu powiedzieć coś miłego. Tyle że w tym wypadku nie powiedziała zupełnie nic miłego.

- W każdym bądź razie nie odpowiedziałam nam na pytanie - podjął mały Flint.
- Właśnie, nie odpowiedziałam nam.
- Co robisz w miasteczku?
- Spaceruję. Czy to zabronione? A może muszę was prosić o pozwolenie?

Ci trzej spojrzeli po sobie.

-Chcecie, żebym was poprosiła o zgodę? Którego z was? Ciebie, Flint? - spytała, robiąc krok do przodu w stronę małego Flinta. Podniosła rękę z zamiarem położenia jej na ramieniu chłopaka, ale ten się natychmiast cofnął, jakby w obawie, że się zarazi.

- Zauważ, że my ciebie śledzimy, ślicznotko - powiedział, ze wzrokiem utkwionym w czubki swoich butów.

Tego się Julia nie spodziewała.

- Śledzicie mnie? A to dlaczego?
- Śledzimy całą waszą trójkę - uściślił wielki Flint, składając papier po podwieczorku.

Julia zrobiła się jeszcze uważniejsza.

- Całą trójkę? Mojego brata, Ricka i mnie?

^nieprzyjemne spotkanie _ ^

- Właśnie.
- Taaa... Smarkacza i tego rudzielca.
- A dlaczego nas śledzicie?
- Bo to jest teraz nasza praca - odparł mały Flint.
- Taaa... Prawdziwa praca.

Julia ponownie wzięła się pod boki.

- Ach, więc to tak, ktoś zlecił wam, byście nas śledzili.
- Właśnie. Ktoś ważny.
- Taaa... Bardzo ważny.
- W prawdziwym martinie - dodał wielki Flint.
- W aston martinie durniu! - zrugął go mały Flint.

-Taaa... W aston martinie. I nawet nas nim przewiózł.

Mały Flint zrobił krok do przodu, patrząc złośliwie prosto w oczy Julii.

- Faktem jest, że wy, Covenantowie, coś knujecie. Wy i ten rudowłosy Banner. - Wyciągnął z kieszeni jedną ze złotych monet, jakie poprzedniego wieczoru dostali od Nestora na drogę Jason i Rick.

Moneta zaślniła, a zdumiona Julia spytała:

- Skąd ją macie?

Moneta znikła błyskawicznie z powrotem w kieszeni małego Flinta.

- Powiedzmy, że... znaleźliśmy ją.
- Taaa... wczoraj w nocy.
- W okolicy stacji.
- I dlatego zaczęliśmy sobie stawiać pytania.
- Wiele pytań...
- W rodzaju, co robił Banner o północy na stacji?

- Także dlatego, że wszyscy dobrze wiedzą, że w Kil-more Cove od lat nie kursują pociągi.
- Taaa... Od lat nie ma tu pociągów.
- A jednak, wczoraj wieczorem jeden pociąg tędy przejechał.
- Taaa... Wiele osób go słyszało.
- I Blacka Wulkana, zawiadowcy, też nie ma w domu. Całkiem jakby i on wyjechał.
- Taaa... Wyjechał.
- Jak Banner.
- Dodaj jedno do drugiego i zobaczysz, że coś tu się nie zgadza... - powiedział mały Flint. - Rozumiesz, Julio? - Podszedł groźnie do dziewczynki, a za nim tamci dwaj. - Posłuchaj uważnie, Julio...
- Stójcie. Nie podchodźcie - uprzedziła ich dziewczynka, wycofując się wolniutko na bok placyku.
- Bo co zrobisz? Zacziesz krzyczeć?
- Krzyczeć? - warknęła rozzłoszczona Julia. - Macie jakieś dziwne wyobrażenie o dziewczynach.
- Chyba nas nie zrozumiałas, Julio. My nie mamy złych zamiarów. Chcemy tylko wiedzieć, co kombinujecie.
- Przecież my nic nie kombinujemy, chłopaki.
- Wcale tak nie uważamy.
- I dlatego zaczęliśmy sobie stawiać pytania.
- Wiele pytań...
- W rodzaju, co robił Banner o północy na stacji?
- Także dlatego, że wszyscy dobrze wiedzą, że w Kilmore Cove od lat nie kursują pociągi.
- Taaa... Od lat nie ma tu pociągów.
- A jednak, wczoraj wieczorem jeden pociąg tędy przejechał.
- Taaa... Wiele osób go słyszało.
- I Blacka Wulkana, zawiadowcy, też nie ma w domu. Całkiem jakby i on wyjechał.
- Taaa... Wyjechał.
- Jak Banner.
- Dodaj jedno do drugiego i zobaczysz, że coś tu się nie zgadza... - powiedział mały Flint. - Rozumiesz, Julio? - Podszedł groźnie do dziewczynki, a za nim tamci dwaj. - Posłuchaj uważnie, Julio...
- Stójcie. Nie podchodźcie - uprzedziła ich dziewczynka, wycofując się wolniutko na bok placyku.
- Bo co zrobisz? Zacziesz krzyczeć?
- Krzyczeć? - warknęła rozzłoszczona Julia. - Macie jakieś dziwne wyobrażenie o dziewczynach.
- Chyba nas nie zrozumiałas, Julio. My nie mamy złych zamiarów. Chcemy tylko wiedzieć, co kombinujecie.
- Przecież my nic nie kombinujemy, chłopaki.
- Wcale tak nie uważamy.
- ^ > nieprzyjemne spotkanie _ ,
- Nie, całkiem nie. My tak nie uważamy.
- Nie uważamy i koniec - dodał wielki Flint.

W miarę cofania się, Julia wchodziła stopniowo w zaułek biegnący w stronę domu Kalipso. Zauważyła to końcem oka i nadal cofała się krok po kroku. W międzyczasie dyskretnie sprawdzała numery domów po lewej stronie.

Trzej Flintowie szli za nią, zwarci i groźni.

- Więc jak? Co wy kombinujecie, Covenantowie i rudowłosa?

Julia doszła do bramki domu Kalipso, chwyciła prędko za klucze i zrobiła gwałtowny obrót.

- Dobra, wszystko wam opowiem - zawołała. - Co powiecie, jeśli was zaproszę na górę do siebie?

Ci trzej spojrzeli po sobie osłupiali.

- Ty tu nie mieszkasz.

- Taaa... Ty mieszkasz nad urwiskiem..

Julia modliła się tylko, żeby klucz otworzył drzwi od pierwszego razu. „Powiedz mi, że dałaś mi właściwe klucze, Cindy”.

Wsunęła klucz w dziurkę, obróciła go i bramka otworzyła się na schody pachnące kwiatami. Udało się.

Dziewczynka wślizgnęła się do holu domu Kalipso. Zatrzasnęła za sobą drzwi i oparła się o nie.

„Ocalona” - pomyślała, patrząc na schody prowadzące na pierwsze piętro.

Rozdział 14

GRANICA

Rzymski akwedukt pokonywał wzgórza i doliny, oddalając się hen, w coraz dalsze strony. Jego nitka, wzdłuż której szli, pięła się ku górze. Im wyżej, tym te ruiny były w coraz gorszym stanie.

Niekiedy dzieci musiały przystanąć, żeby sprawdzić, czy w ogóle jeszcze istnieje. Kiedy ginęły ślady muru i arkad, trójka wędrowców ograniczała się do utrzymywania przyjętego kierunku marszruty z głębokim przekonaniem, że wcześniej czy później odnajdą znowu zagubiony szlak.

I tak szli aż do późnego popołudnia, kiedy to znaleźli się już w wysokich górach. Temperatura spadła, a wiatr się nasilił.

Jason, Anita i Rick odzywali się rzadko, oszczędzając siły na wspinaczkę.

Wiele razy musieli posuwać się na czworakach i pomagać sobie wzajemnie, by pokonać splątane gąszcze, okrążyć zawalone głazy, przeskakiwać głębokie szczeliny usiane kwiatami.

Raz, kiedy pejzaż dokoła nich zamienił się w rumowisko skalnych kamieni i szumiące rzadkie lasy jodłowe, musieli ominąć wielką przepaść, strzeżoną przez zaciekawionego sokoła tkwiącego na czubku uschniętego drzewa.

Jason wybrał drogę nad przepaścią po akwedukcie, przerzuconym nad nią niczym kamienny mostek. Nie bacząc na protesty swoich towarzyszy, przeszedł po wąziutkiej krawędzi zmurszałego muru z rozłożonymi rękami, chwytając równowagę i w niecałą minutę był po drugiej stronie.

- Jesteś szalony - powiedział mu Rick, który wybrał obejście dołem, schodząc po kamieniach i potem wspinając się po nich na powrót. - Ten mur mógł się w każdej chwili obsunąć.

- Te mury stoją tu już od prawie dwóch tysięcy lat, Rick. I co się miało zawalić, to się już zawaliło - odpalił Jason, dając znak Anicie, żeby przeszła tak jak on.

Anita chwilę się zastanawiała i poszła śladem Jasona.

- No tak - mruknął Rick. - Jakby gadać do ściany.

Sokół zerwał się do lotu, wydając przenikliwy pisk.

Dwadzieścia minut później góry stały się jeszcze bardziej kamieniste, szare i zimne, a akwedukt urywał się za resztkami jakiejś starej rozwalonej budowli.

- Koniec wodnej drogi - powiedział Jason, rzucając na ziemię swój potwornie ciężki plecak.

- Albo raczej początek - zauważyła Anita.

Znaleźli się przed pionowym pęknięciem w skale. U stóp rozpadliny kiedyś musiało być jezioro czy źródło. To tutaj akwedukt był zasilany w wodę, dzięki grobli kierującej ją do kanału, który niósł ją potem dalej w dolinę.

Dziś po tym wszystkim pozostały jedynie ruiny u stóp góry. I nic więcej.

Znów usłyszeli pisk sokoła. Zaczął wiać przejmujący wiatr, chwiejąc mocno drzewami wśród skał.

Jason, Rick i Anita usiedli na ziemi, by się zastanowić, co począć. Wyjęli zeszyt i kartkowali go w poszukiwaniu jakiegoś pomysłu. Potem Rick wstał, ośmielił się przejść po omszałych kamieniach aż do granicy czarnej rozpadliny i zaczął macać ścianę skalną w poszukiwaniu jakiegoś przejścia.

Żadnej grotty. Ani dostępu do gór.

-Nie mamy wielkiego wyboru - zauważył Jason. Ogarnął wzrokiem rozciągający się pod nimi pejzaż z sosnami i skałami, tak daleko, jak na to pozwalała mgła. - Sądzicie, że dotarliśmy do granicy?

- Nie wiem. A poza tym - do granicy czego?

Anita nadal studiowała zeszyt. Według wskazówek Morice'a Moreau, kiedy dotrą do granicy, muszą okazać dokumenty i iść dalej.

-Rysunek zawiera błąd - zauważyła dziewczynka. - Nie widzę tu żadnego mostu. I żadnego posągu stojącego na straży mostu.

Rick powrócił ze swojego krótkiego rozpoznania.

- Za kotliną jest wąska ścieżka, która biegnie wzdłuż krawędzi i skręca tam, za tymi krzewami. Więc tak, albo trzeba się wspinać... - i tu wskazał wznoszącą się nad nimi niemal pionowo skalną ścianę, żeby podkreślić szaleństwo tego pomysłu - albo trzeba zawrócić.

- Wspinamy się - zażartował Jason, wiedząc doskonale, że Rick zaraz zacznie protestować.

Ale rudowłosy chłopiec był tak zmęczony, że siadł tylko koło przyjaciela w milczeniu.

Wyciągnął z plecaka butelkę z wodą i podał Anicie, a kiedy ona się napiła, sam też się napił.

- W każdym razie nie rozumiem, o jakich dokumentach mowa - ciągnęła dziewczynka, zastanawiając się nad wskazówkami Moreau.

Wstała i obeszła wyschnięte źródło. Doszła do starego kamiennego muru porośniętego górskimi kwiatami, przeskoczyła go i żwawo ruszyła ścieżką pnącą się skośnie aż do przeciwległego szczytu.

W ciągu kilku minut doszła do krzewów, które widzieli z dołu, skręciła za jakimiś głazami i znikła z pola widzenia chłopców.

- Co o tym wszystkim myślisz? - spytał po chwili Jason, gdy dziewczynka trochę się oddaliła.

- O tym miejscu czy o Anicie?

-I o tym, i o tym.

- O tym miejscu, że jesteśmy na właściwej drodze. A o Anicie, no cóż... nie myślę nic szczególnego. Dzielna dziewczyna. Nie narzeka. I jest... całkiem do rzeczy... ty też to zauważyłeś.

- Jest miła.

- Tak, jest bardzo miła.

Jason spojrzał z ukosa na przyjaciela.

- Ale co ja na to poradzę, że tobie podoba się tylko moja siostra?

-Jason, daj spokój...

- Och, dobrze, dobrze. Już nic nie powiem. Wiem doskonale, dlaczego idziesz przodem głuchy i niemy. Tęsknisz za nią, co?

Rick spuścił głowę, wpatrując się w swoje ręce.

-Jason, to nieładnie...

Jason podniósł się z ziemi, wziął plecak i zarzucił go sobie na plecy.

-Tęsknisz za moją siostrą czy nie? Bo w tym cały kłops.

- Straszliwie tęsknię - odpowiedział Rick, podnosząc nagle wzrok.

- A ona o tym wie?

- O czym?

- Że tęsknisz.

- Skąd mogę wiedzieć? Przypuszczam, że się domyśla. Że się domyśli.

-I tu się mylisz - powiedział Jason, wyciągając rękę do Ricka, by pomóc mu się dźwignąć. - Ty sądzisz, że dziewczyny potrafią coś zrozumieć, tymczasem one nic nie pojmują, ni w ząb. Jeżeli mi ufasz, bo wychowałem się razem z dziewczyną, a chcesz, żeby była dla ciebie dobra, dam ci tylko jedną radę: jak tylko ją zobaczysz, pocałuj ją.

Na taki strzał Rick omal nie stracił równowagi.

- Żartujesz chyba? Nie mógłbym... nigdy!

- Po latach obserwacji, Rick, doszedłem do pewnych wniosków i podsumowałem wszystko w kilku oczywistych, niepodważalnych regułach. Jedna z nich wyjaśnia na przykład, dlaczego ty i moja siostra prawie się do siebie nie odzywacie.

- Co to znaczy, że się do siebie nie odzywamy?

- Posłuchaj. Reguła pierwsza Jasona Covenanta. Jeżeli ktoś ci powie, że ty się podobasz jakiejś dziewczynie, a ta dziewczyna podoba się tobie, to jest pewne, że od tej chwili już się do niej nie odezwiesz.

Rick zaśmiał się ironicznie.

- Do licha, to prawda. Za każdym razem jak patrzę na twoją siostrę, a ona na mnie, jak to się zdarzyło wczoraj... wtedy, kiedy mnie poprosiła, żebym ją zabrał z nami do Arkadii... czuję się trochę jak tresowany szympan.

Jason kiwnął rozumiejąco głową i ciągnął dalej:

- Reguła druga Jasona Covenanta. Jeżeli bardzo chcesz się spodobać jakiejś dziewczynie, zrób wszystko, co tylko możesz, żeby w jej oczach wyglądać na skończonego durnia.

Rick znowu roześmiał się ironicznie.

- Nie myślałem, że z ciebie taki filozof.

- Nie jestem żadnym filozofem, ale obserwuję i wyciągam wnioski - odpowiedział Jason, wchodząc na ścieżkę, na której znikła Anita.

- Jest jeszcze reguła trzecia?

- Na razie nie ma. Ale pracuję nad tym.

Skręcili za skały i przeszli po krótkiej półce skalnej porośniętej kosodrzewiną. Jak tylko ścieżka zrobiła się dostatecznie szeroka, Rick dołączył do Jasona i szli teraz obok siebie.

- Chciałbyś coś wiedzieć o Anicie, Jasonie?

- Co takiego?

- Najpierw... powiedziała mi, że się jej podobasz - odpowiedział Rick z westchnieniem, stając przed nim.

Jason przystanął. „Podobam się jej?” - pomyślał.

- Teraz nadszedł czas, byś wprowadził w życie swoją regułę numer jeden...

- Drań! - krzyknął Jason, śmiejąc się. - Zwyczajny drań z ciebie! Wcale tak nie powiedziała!

- A właśnie, że powiedziała! To prawda! - odparł Rick ubawiony.

Zaczęli biec, jakby cała dotychczasowa wspinaczka zupełnie ich nie zmęczyła.

Skręcili za półkę skalną i uderzył w nich tak gwałtowny podmuch wiatru, że prawie stracili równowagę.

Za granią, którą właśnie minęli, rozciągał się nieoczekiwany widok. Góry, które do tej pory pokonywali, nagle kończyły się tarasem, jakby zawieszonym w powietrzu. Na skraju tarasu

stała statua uskrzydłonej kobiety: w jednej ręce trzymała miecz, a drugą wskazywała przepaść.

- Granica... - szepnął Jason.

Wiatr dał tutaj z wszystkich stron. Szarpał ubrania i włosy Anity, która doszła na taras wcześniej i podchodziła właśnie na skraj przepaści.

- Wyciągnij dokumenty, Jasonie.

- Jakie dokumenty?

- Może zaświadczenie, że zwariowałeś i certyfikat, że młodo umrzesz?

- To dopiero wiatr! - krzyknęła Anita, kiedy chłopcy do niej podeszli. Włosy fruwały jej dokoła twarzy, wijąc

się, jak obdarowane własnym życiem. Lodowate podmuchy szalały nieprzerwanie, spływając ze szczytów i wciskając się w najmniejszą szczelinę.

- Co to za straszliwe miejsce - odezwał się Jason, podchodząc do posągu kobiety. Taras urywał się nad czarną przepaścią, która wydawała się wykrojona w samym sercu gór mieczem jakiegoś giganta.

- To jest granica! - krzyknął Rick, stojący za Jasonem. - Albo miejsce, z którego zawracamy! - krzyknęła Anita.

- Wracać? - zapytał Jason z oczami lśnącymi odwagą. Dziewczynka otworzyła szeroko swoje zielone oczy

i przytrzymała włosy, żeby jej do nich nie wpadały. - A co? Masz jakiś lepszy pomysł?

Jason badał rozpadlinę, przyglądając się jej bardzo uważnie. Skok na drugą stronę przepaści wydawał się raczej niewykonalny. Musiała mieć z pięć, może sześć metrów szerokości.

Krawędź przeciwległa znajdowała się niżej niż ta, na której stali; jakiś dobry metr różnicy poziomów.

Jason skulił się przy ziemi, gdzie powietrze wirowało z mniejszą siłą. Przechylił się, żeby spojrzeć poza brzeg tarasu, gdzie skała wyglądała, jak ucięta nożem.

- Jason? - odezwała się Anita stając nad nim. Ukłękła, po czym wyciągnęła się na ziemi obok przyjaciela, mówiąc do niego całkiem z bliska, żeby przy tym wietrzysku

-

mógł ją słyszeć. Ich policzki dotykały się, a jednak, kiedy Anita mówiła, Jason nie usłyszał ani jednego słowa.

Patrzył na nią, a w końcu powiedział:

- Gwiżdżę na pierwszą regułę, wiesz?

- Co mówisz?

Jason dźwignął się na nogi i poszukał wzrokiem Ricka. Ten stał bardziej z tyłu, oparty plecami o skałę, z plecakiem u stóp. Pokręcił głową.

- Nie próbuj, Jasonie.

Jason zaczął iść w jego kierunku.

Anita też wstała i poszła za nim. - Co się dzieje?

- Nie tym razem! - powiedział Rick.

Anita nadal nic nie rozumiała. - Co nie tym razem?

- Już postanowił - odpowiedział dziewczynce Rick, nawet na nią nie patrząc. Oczy miał utkwione w oczach Jasona, który stał przed nim z tą swoją charakterystyczną wyzywającą miną.

- CO postanowił? - krzyknęła Anita.

- Chce przeskoczyć.

Anita wprost nie mogła w to uwierzyć.

-ŻARTUJECIE? CHYBA NIE CHCECIE NAPRAWDĘ...

Słowo skoczyć nawet nie mogło jej przejść przez gardło.

Wiatr nagle wzmógł się i niemal jej nie przewrócił.

Skoczyć.

mógł ją słyszeć. Ich policzki dotykały się, a jednak, kiedy Anita mówiła, Jason nie usłyszał ani jednego słowa. Patrzył na nią, a w końcu powiedział:

- Gwiżdżę na pierwszą regułę, wiesz?

- Co mówisz?

Jason dźwignął się na nogi i poszukał wzrokiem Ricka. Ten stał bardziej z tyłu, oparty plecami o skałę, z plecakiem u stóp. Pokręcił głową.

- Nie próbuj, Jasonie.

Jason zaczął iść w jego kierunku.

Anita też wstała i poszła za nim. - Co się dzieje?

- Nie tym razem! - powiedział Rick.

Anita nadal nic nie rozumiała. - Co nie tym razem? -Już postanowił - odpowiedział dziewczynce Rick, nawet na nią nie patrząc. Oczy miał utkwione w oczach Jasona, który stał przed nim z tą swoją charakterystyczną wyzywającą miną.

- CO postanowił? - krzyknęła Anita.

- Chce przeskoczyć.

Anita wprost nie mogła w to uwierzyć. -ŻARTUJECIE? CHYBA NIE CHCECIE NAPRAWDĘ...

Słowo skoczyć nawet nie mogło jej przejść przez gardło.

Wiatr nagle wzmógł się i niemal jej nie przewrócił. Skoczyć.

Jason przykucnął i otworzył swój plecak.

- Nie ma innej możliwości - powiedział. - Ale z pewnością nie jest to łatwe. Będzie z pięć metrów, co najmniej.

- Według mnie, co najmniej sześć - poprawił go Rick. Odkopał plecak Jasona i wcisnął mu w ręce swój. - W moim plecaku jest lina, głuptasie.

- Głuptasem to będziesz ty.

- Niezdara. To ja noszę linę. Dziesięciometrową, jak zawsze.

- Doskonale - uśmiechnął się Jason. - To zrobimy, jak mówię.

- Po co się teraz licytować, Jason? - odparował Rick.

- Obwiążę się liną z karabinkiem. Ty będziesz trzymać drugi koniec. Dwa metry ci wystarczą?

-Jason, posłuchaj mnie uważnie... Półtora metra.

- Jeżeli uda mi się tam przeskoczyć, załatwione. Rozciągniemy linę między dwiema krawędziami i wy po niej przejdziecie na drugą stronę. Możemy ją podwiązać do posągu.

- Boże mój - wyjąkała Anita.

- A jeśli nie dam rady..

- O Boże, o Boże, o Boże...

Chłopiec obrócił się w stronę Anity. - Czy mogłabyś się łaskawie opanować? Jeżeli nie dam rady i nie przeskoczę na drugą stronę, wy w każdym razie będziecie mieli linę i będziecie mogli mnie wyciągnąć.

-Nie dam rady cię utrzymać - odpowiedział Rick. - Jeżeli zlecisz, spowodujesz silne szarpnięcie i lina wyleci mi z rąk. Strasznie ryzykujemy.

Anita pokręciła głową.

- O Boże jedyny. Nie wierzę. To niemożliwe. Nie mówicie chyba poważnie.

- A poza tym jest za silny wiatr - dodał Rick.,

Podnieśli obaj wzrok na góry.

To była prawda, cały czas był silny wiatr, który nieustannie zmieniał kierunek. To wiatr zaciekle w kierunku skoku, to znów gwałtownie dmuchał z przeciwnej strony.

- Taa... wiatr - powiedział Jason.

- Nigdy nie widziałem takiej wichury. Wydaje się, że zapowiada burzę.

- Chyba tak, ale gdybyśmy go tylko potrafili obrócić na naszą korzyść...

Jakby w odpowiedzi na to życzenie, wiatr się nasilił i jeszcze bardziej się rozhulał, wyjąc i waląc o skałę.

- PRZESTAŃCIE! - krzyczała Anita - TO NIE MA SENSU! RUSZAMY! WRACAMY NATYCHMIAST DO DOMU!

- Dokumenty, Rick - mruknął w pewnej chwili Jason, przyciśnięty lodowatym podmuchem do skały. - Jest napisane, że musimy okazać dokumenty.

-Jeśli mi powiesz, o jakie dokumenty chodzi, to je okażę.

- Komu? - zapytał Jason. - Komu mamy okazać dokumenty?

Rick pokręcił głową.

- Nikogo tu nie ma.

Wiatr ryczał i znowu zmienił kierunek, wiejąc w stronę krawędzi nad przepaścią.

- Z wyjątkiem jego.

- Jakiego jego?

- Wiatru. On tu jest. Hej, zaczekaj moment, Rick! Przypomnij sobie, co przetłumaczyliśmy w pierwszej części zeszytu? Rady w sprawie ekwipunku. Kiedy Morice Moreau mówił, żeby nie zabierać ze sobą banknotów, lecz złoto i srebro...

-1 pas z kieszeniami. Tak. Namiot, pled i moskitierę.

-A dalej?

- Strój wieczorowy na bale, na które z pewnością zostaniemy zaproszeni.

-1 ja go zabrałem. A dalej?

Rick próbował sobie przypomnieć.

- Nieodzowna margeryta wiatrów.

- Margeryta wiatrów. Czym u licha może być ta margeryta wiatrów?

- Róża wiatrów oznacza kierunek wiatru na mapach żeglarskich.

- A margeryta?

Obaj nagle obrócili się w stronę Anity. Podczas gdy przedzierali się przez morze trawy w dolinie, dziewczyna zebrała kilka sztuk tych dziwnych margerytek o lodyżce i szypułce pokrytej puszką.

- O co chodzi, chłopcy? - spytała Anita z miną raczej zmartwioną.

- A jeżeli te kwiaty, które zebrałaś, to są właśnie mar-gerytki wiatru? - spytał Jason.

Rick podrapał się w głowę.

- Nawet jeśli to są te... to jak działają?

Wyciągnęli margerytki z plecaka Anity i trzymali je mocno w rękach, żeby im wiatr ich nie wyrwał.

Poszukali jakiegoś bardziej zaciszego miejsca i zaczęli się im przyglądać. Te dziwne kwiaty były bardzo mocne i miały białe płatki z wyjątkiem jednego płatka ciem-niofioletowego, który znajdował się w górnej części korony.

I w tej dolnej.

Oraz w części lewej.

- Widzieliście? - spytał Jason, który coś zauważył.

Płatek przesuwiał się zależnie od kierunku wiatru. Cała korona kręciła się jak koło sterowe, przytrzymywana przez grubą i pokrytą puchem szypułkę, która nie pozwalała kwiatkowi na rozerwanie.

- Do licha! - odezwał się Rick.

- Wskazuje wiatr - uśmiechnął się Jason.

Anita, skulona obok nich, wpatrywała się ze zdumieniem w kwiat.

-Tyle że nie działa... - Rick wstał, zaatakowany natychmiast przez dziki wiatr, który huczał wokół nich.

- Spójrz... margeryta wskazuje na prawo, podczas gdy wiatr dmucha z przeciwnej strony... od lewej.

- Zobaczmy, kiedy zmieni. Policzyli.

- Trzy, cztery, pięć sekund...

- Teraz wiatr dmucha od prawej! - wrzasnął Rick.

- A płatek przesunął się w górę!

- Licz!

- Trzy, cztery, pięć...

-Wiatr znowu zmienił kierunek. Teraz dmucha od gór!

- A margerytka znowu się obróciła!

Zamienili się rolami. Jason obserwował wiatr i liczył, a Rick wpatrywał się w margerytkę.

Zrobili serię eksperymentów i chociaż rzecz wydawała się całkowicie absurdalna, doszli do pewnego wniosku.

- Margeryta nie wskazuje bieżącego kierunku wiatru!

- powiedział Rick - Ona go wyprzedza! Pokazuje, skąd będzie wiać, z pięciosekundowym wyprzedzeniem!

Anita była, delikatnie mówiąc, przerażona. -1 co z tego? - spytała.

Anita miała tylko patrzeć, z której strony poruszy się płatek. A kiedy będzie po lewej stronie, miała za plecami Jasona krzyknąć: „Ruszaj, Jason!”.

Jason tkwił skulony przed nią, jakieś dziesięć metrów od przepaści, w pozycji człowieka gotowego do startu w wyścigu. Rick stał za nim z liną w rękach. Drugi koniec liny znajdował się przy pasie Jasona przeciągnięty przez dwie szlufki i karabinek.

Anita miała tylko krzyknąć: „Ruszaj, Jason!” .

Od jej „ruszaj!” chłopiec miał pięć sekund, żeby podbiec do brzegu przepaści i wykonać skok w nadziei, że otrzyma dodatkowe pchnięcie od korzystnego wiatru.

Rick miałby za nim podbiec aż do krawędzi, a potem rzucić się płasko na ziemię gotów do utrzymania ciężaru Jasona, gdyby skok się nie udał.

Szaleństwo.

Kiedy tak Anita wpatrywała się w margerytę wiatrów, czuła, jak jej serce straszliwie łomocze.

Wiatr wirujący dokoła niej pogarszał jeszcze sprawę. Wzmagał zamęt w jej głowie i sercu.

Na chwilę podniosła wzrok i spojrzała na Jasona.

A potem, kiedy przywiązał sobie linę do pasa, nie spuszczała już z niego oczu. Było tak, jakby chciała mu powiedzieć coś ważnego, ale nie mogła tego zrobić. Jason pozwolił Rickowi opasać się liną, a jej dał znak ręką, że granica i wszystko w porządku. Potem ustawił się w gotowości do startu.

I od tej chwili czas się dla niej zatrzymał.

Wiatr targał jej włosy. Korona płatków margerytki obracała się w górę, w dół, na prawo i znowu do góry.

Anita spojrzała na Jasona gotowego do skoku. I odkryła, że przygląda mu się zachwycona.

Do góry, do dołu, na prawo...

Był silny, ciepły, bardzo inteligentny. Był inny od wszystkich chłopców, których знаła.

Czytał te same książki co Tommi, ale...

Jason był wielki.

Do góry, do dołu, na lewo.

Na lewo.

Anita wyprostowała się i krzyknęła: - RUSZAJ, JASON, PĘDŹ!

I chłopiec poderwał się błyskawicznie do skoku.

Przebiegł taras dziesięcioma krokami, najwyżej w dwie czy trzy sekundy. W czwartej sekundzie już skoczył. A w piątej...

W piątej sekundzie wiatr niespodziewanie zmienił kierunek, wydymając mu koszulę i spodnie. Cofając go. Przytrzymując go.

Jason zamachał ramionami w powietrzu.

Pokonał metr, dwa, trzy.

Cztery metry skoku.

Rick padł twarzą do ziemi. Wiatr zawiał jeszcze mocniej. Pięć metrów, sześć, siedem. Anita krzyknęła.

Jason był teraz na samym brzegu rozpadliny po drugiej stronie.

Był tam, tuż-tuż. O włos. Wyciągnął rękę i dotknął krawędzi. Tylko dotknął. Potem spadł w przepaść.

Rozdział 15

CZĘSTOTLIWOŚĆ ZERO

Wiatr dał od morza ze zdecydowanie przesadną siłą, omiatając wieżę latarni swymi świszczącymi i słonymi podmuchami. Drzwi na dole latarni były zamknięte, lecz ogrodnik z Willi Argo miał klucze i wszedł. Kiedy spojrział w górę na długą spiralę kamiennych schodów, zatkało go z wrażenia; już zapomniał, jak męczące było wchodzenie na szczyt latarni.

- A niech cię, Leonardzie... - burknął. - Przekleć ty i te twoje podróże. Ostatni raz tu przychodzę, żeby cię szukać.

I utykając, zaczął pomału, z wysiłkiem wchodzić, schodek po schodku.

Za stary był już na takie trudy.

Pokój Leonarda znajdował się tuż pod automatycznym mechanizmem włączającym światło latarni i był dokładnie taki, jak go Nestor zapamiętał: zawalony żeglarskimi mapami rozłożonymi na stołach pod oknem. Wszędzie leżały też porozrzucane książki i tablice korkowe, na których Leonard lubił przyczepiać papiery i karteczki różnych rozmiarów.

Pokój podróży...

...i przygód.

Nestor przysiadł na stopniu w progu, żeby złapać oddech. Popatrzył na rulony map, na zmięte i rozłożone arkusze, na papiery, na których latarnik nakreślił koła i zaznaczył pozycje, i uśmiechnął się na myśl o Kalipso, która teraz dzieliła z Leonardem tę jego niewyczerpaną pasję. Pomyślał o małej i delikatnej bibliotekarce z miasteczka, o tym, jak to spotkał ją po raz pierwszy pięćdziesiąt lat temu w starym parku na wzgórzach, z jej dwoma pudelkami.

Pomyślał o jej dokładności, o jej nienagannych katalogach książek i spróbował ją sobie wyobrazić, jak usiłuje przekonać Leonarda, żeby zrobił porządek w swoim pokoju w latarni. Jego mapy. Jego podróże.

- Dobra, Leonardzie, przekłety uparciuchu - mruknął Nestor, dźwigając się z trudem na nogi.

- Można wiedzieć, gdzie przepadłeś tym razem?

On i Kalipso wypłynęli łodzią bez żadnych wyjaśnień.

Ostatecznie nie musieli się tłumaczyć, byli dorośli i odpowiedzialni. Nie mogli przewidzieć, że właśnie w tych dniach pojawi się w miasteczku Anita Bloom z tajemniczym zeszytem podróży i że Klub Podróżników w Wyobraźni powróci tak jawnie, głośno dając o sobie znać. Nestor nie mógł być pewien, czy Leonard ma egzemplarz zeszytu Morice'a Moreau, ale przecież musiał to sprawdzić.

Zaczął przeglądać książki i notatki, które Leonard porozrzucił po całym pokoju. Jak zwykle dotyczyły podróży i poszukiwań. A jedynym celem jego poszukiwań było odnalezienie konstruktorów drzwi, tych ludzi, którzy zbudowali Wrota Czasu, czy też je przywieźli do

Kilmo-re Cove. Niewiele udało mu się o nich dowiedzieć z wyjątkiem tego, że oznaczali swoje dzieła sylwetkami zwierząt i że często były to trzy żółwie. Według Leonarda żółwie były symbolem morskim, a zatem konstruktorzy powinni byli przybyć z morza. Ale co się z nimi stało potem? Czy powrócili na morze? Czy zmarli? Czy przekazali komuś swoją wiedzę?

To, co Leonard i Nestor wiedzieli z absolutną pewnością, to było tylko to, że konstruktorzy wrót połączyli ze sobą pewne miejsca, a ich drzwi stanowiły najkrótszą drogę do tych miejsc. Same drzwi, przynajmniej na oko, były wykonane z najprostszych elementów: z drewna, z ozdobnymi kluczami i z zamkiem mniej lub bardziej skomplikowanym. Jednak ich sekretu i tajemnicy, przez kogo zostały skonstruowane, nigdy nie udało się odkryć.

Nestor przejrzał notatki Leonarda.

- Wyspy, wyspy i jeszcze raz wyspy. Dokąd tym razem się udałeś? I czego szukasz? Zatrzymał się nad mapą żeglarską, która ukazywała drogę morską między Kornwalią a Irlandią. Leonard napisał na tej mapie zdanie, które Nestor w pełni podzielał. Zdanie, jakie sam często i od dawna powtarzał, jeszcze przed zaginięciem Penelopy:

Konstruktorzy drzwi wszyscy umarli.

- Brawo, uparciuchu... - mruknął ogrodnik. - Wreszcie to do ciebie dotarło. Wszystko, co możemy teraz zrobić, to zabezpieczyć drzwi.

A jednak...

A jednak zawsze było coś, co w głębi duszy niepokoiło Nestora, kiedy tylko pomyślał o drzwiach. Tyle lat bezskutecznych poszukiwań... i... na co to wszystko?

Nawet, jeżeli wszyscy nie żyją..

Brzmiął dalszy ciąg notatki Leonarda.

... czy to możliwe, żeby nie przekazali komuś sekretu swej sztuki?

Czytając te zapiski, Nestor się uśmiechnął. Obok mapy, istotnie, leżała książka o niedwuznacznym tytule:

Na okładce był portret Dantego Alighieri. Leonard pokrył notatkami każdą stronicę, podkreślając pewne fragmenty i wklejając karteczki ku pamięci.

- A to skąd się u niego wzięło? - zadał sobie pytanie stary ogrodnik, podczas gdy wiatr gwałtownie pędził coraz to głośniejsze fale.

Upuścił książkę na papiery i zaczął szperać między stosami map i zabazgranymi tomami, dopóki nie znalazł tego, czego szukał. Radio, pogrzebane pod dziesiątkami pogniecionych egzemplarzy National Geografie.

Radionadajnik w latarni morskiej to była czarna bakelitowa skrzynka, wielkości małego telewizora, którą zainstalował Peter Dedalus tuż przed opuszczeniem miasteczka. Według Leonarda nigdy naprawdę nie działał, ale Peter był przeciwnego zdania.

Nestor spróbował sobie przypomnieć, jak się to radio obsługiwało. Sprawdził, czy jest włączone, a potem przyszło mu do głowy, że większość mechanizmów zaprojektowanych przez Petera nie potrzebowała zasilania, wystarczyło je potrzymać czas jakiś na słońcu.

Sapiąc, wziął radio pod pachę i wyszedł z pokoju. Wspiął się po ostatnich stopniach na sam szczyt wieży i otworzył niskie drzwi na balkonik, który okrężał wielką latarnię.

Uderzył go podmuch wiatru, tak silny, że się zatoczył. Wiatr potargał mu włosy.

Nestor postawił radio na ziemi, włączył je i czekał, aż baterie słoneczne, jakie Peter zamontował na obudowie, wchłoną dosyć światła, by uruchomić wewnętrzny mechanizm.

Tymczasem okrężył wolno balkonik, spoglądając z góry na zatokę Kilmore Cove i zalesione wzgórza Shamrock Hills.

Potem przeniósł radio na klatkę schodową, zamknął drzwi, pocesał się i oparł o pobielaną ścianę.

Nacisnął przycisk i usłyszał charakterystyczny szum w jeszcze nie nastrojonym odbiorniku. Wtedy zaczął kręcić gałką, najpierw w prawo, a potem w lewo. Oczywiście, w Kilmore Cove wielu stacji nie można było odbierać.

Jedyny działający przekaźnik sami zmagistrowali jakieś piętnaście lat temu, podłączając go do odpowiednio spreparowanej szafy grającej, która odtąd przez całą dobę nadawała na okrągło kolekcję płyt Blacka Wulka-na. I nikt w miasteczku na to się nigdy nie uskarżał. Black miał wspaniałą kolekcję płyt.

Wędrując po skali odbiornika, Nestor złapał także tę stację i słuchał przez kilka sekund początku pamiętnego kawałka z lat siedemdziesiątych In the Wake of Poseidon zespołu King Crimson.

Piękna kolekcja czy nie, płyty muzyczne Wulkana oznaczały jednak, że stanęli w miejscu. I wcześniej czy później musieliby to zmienić.

Nestor kręcił gałką, dopóki nie natrafił na całkowitą ciszę.

„Jest” - szepnął do siebie. „Oto częstotliwość zero.”

Peter na wiele sposobów próbował mu wytłumaczyć, jak działa ta częstotliwość, ale Nestora nie interesowały specjalnie naukowe odkrycia czy zbyt racjonalne wyjaśnienia. Pamiętał, że nazywała się „mikrofalowym promieniowaniem tła” i że to było odkrycie dokonane w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku przez dwóch panów zajmujących się antenami radiowymi. Peter mówił, że ten sygnał radiowy pochodzi z kosmosu, z każdego kierunku i z tym samym natężeniem. Mówił, że to echo huk, jaki rozległ się podczas Wielkiego Wybuchu, kiedy powstał wszechświat.

Nestorowi wystarczyło, że ta skrzynka z czarnego bakelitu jeszcze łapała fale i że pozwoli mu też na połączenie się z radionadajnikiem Leonarda.

Przysunął usta do mikrofonu i nacisnął przycisk połączenia.

-Leonard? Leonardzie Minaxo, czy mnie słyszysz? Tu Nestor. Leonard? Odpowiedz. Tu Nestor z Kilmore Cove.

Potem puścił przycisk, nasłuchując absolutnej pustki, która ogarniała go niczym kokon.

Powtórzył operację z dziesięć razy bez rezultatu, potem sprawdził, czy naciskał właściwe przyciski i czy obracał właściwymi gałkami. Jeszcze dwukrotnie próbował, a potem doszedł do wniosku, że to bez sensu.

Może lepiej by było wyjść i razem z Julią spróbować jakoś nawiązać kontakt z dziećmi w Tuluzie. Może zadzwonić na komórkę Anity z „domu o tysiącu wezwań”, jedyne miejsce, z którego można się było naprawdę dodzwonić na zewnątrz.

Wziął znowu radio pod pachę i odniósł je do pokoju, z którego je wyniósł.

- Przydałoby się porządne unowocześnienie aparatury, Peter... mruknął. - Tu już nic nie działa.

Położył bakelitową skrzynkę na stole, potem poruszył gałką, żeby znowu złapać stację nadającą muzykę Wulkana.

- ...OR! - nagle zachrypiało coś w aparacie, po czym wydał on z siebie coś jak dudnienie bębnow.

Nestor podskoczył, przerażony. Czy dobrze słyszał?

Cofnął błyskawicznie gałkę i w mgnieniu oka nastawił ją na częstotliwość zerową. Nacisnął przycisk na łączność i lekko drżącym głosem powiedział:

- Leonard? Słyszysz mnie? Odbiór.

Kiedy puścił przycisk, na pięć sekund zapanowała cisza, po czym głośnik znów zachrypiał niemożliwie:

- N.. .STOR!.. .U.. .EO... ARD!.. .SZE.. ..LE!.....BIÓR!

Przycisk.

- Ja też cię źle słyszę. Gdzie jesteście? Odbiór.

-Nie uwierzysz nam. Odbiór - odpowiedział Leonard, a w każdym razie tak rozumiał Nestor, z uchem przy samym odbiorniku, żeby rozróżnić słowa.

- Spróbuj mi to wyjaśnić. Odbiór.

- ...MORZE! Co się u was dzieje? Dlaczego mnie wzywasz? Odbiór.

- Przyjechała dziewczynka, która czytała moje dzienniki. Dziękuję, żeś mnie. uprzedził. Odbiór.

Przez radio dobiegł śmiech.

- Proszę bardzo. To prawdziwa przyjemność. To dlatego mnie wzywasz? Odbiór.

- Nie. Wydarzyły się jeszcze inne rzeczy. Długo by to wyjaśniać, ale wyruszyliśmy na poszukiwanie osoby, która nas potrzebuje. A wy, kiedy wracacie? Odbiór.

- A kim jest osoba, która nas potrzebuje? Nie rozumiem, spróbuj mówić jaśniej. Odbiór.

Głos Leonarda oddalał się, jakby siła radia stopniowo słabła. Ratując sytuację, Nestor podniósł czarną skrzynkę z bakelitu i zaniósł ją do okna w nadziei, że wpadające światło będzie wystarczające dla dokończenia rozmowy.

- Wyjaśnię ci to, kiedy wróćcie. Teraz posłuchaj: szukamy pewnej książki. Co wiesz o Morisie Moreau? Odbiór.

-Jak powiedziałeś? Jakiej książki? Nie usłyszałem. Odbiór.

- Zeszytu z podróży. Z PODRÓŻY! Odbiór.

- Powtórz nazwisko. Odbiór.

- MORICE MOREAU.

- Zaczekaj. Odbiór.

Nestor zaczął czekać, ale nic się nie wydarzyło.

- Leonard? Kalipso? Jesteście tam jeszcze? Odbiór.

Głos Leonarda przebił się nagle przez radio jak gwałtowny podmuch wiatru, że aż Nestor odskoczył. Ogrodnik odruchowo zwolnił uchwyt i radio wyslizgnęło mu się z rąk, upadając na ziemię.

-...ZNANY! CAŁKIEM ...ZNANY! ...KTO TO JEST!

- No nie! - krzyknął Nestor, próbując zrozumieć, co mu mówi Leonard. Radio rozbiło się i kilka jego części potoczyło się po podłodze.

- Przekleństwo! No nie!

Nacisnął przycisk połączenia.

- LEONARDZIE! CZY TY MASZ TEN ZESZYT? KIM JEST MORICE MOREAU?

Potem skulił się przy skrzynce, usiłując pochwycić każdy najmniejszy dźwięk.

- ...IPSO! - odezwał się głos Kalipso. - Morice Moreau był...IM ...KIEM!

Przycisk.

- Co mówi Kalipso? Kim był Morice Moreau? Odbiór.

Teraz słyszał już tylko dalekie chrypienie, głos słaby i nieosiągalny, jakby kogoś, kto telefonuje z królestwa duchów.

I potem już nic.

Nestor zmarszczył czoło.

Musiał źle usłyszeć.

Wydawało mu się, że Kalipso powiedziała, że Morice Moreau był jej dziadkiem.

Rozdział 16

W DOMU KALIPSO

Ściany w'holu były pokryte pogodną tapetą w kolorze morelowym.

Julia nie zwracała już uwagi na wrzaski Flintów na ulicy i zaczęła wolno wchodzić po schodach na pierwsze piętro. Była zdenerwowana, nie tylko dlatego, że dopiero co udało się

jej wymknąć z łap tych chuliganów i nie sprawić im satysfakcji (kto też im nakazał śledzenie jej?), lecz także dlatego, że zakradała się do cudzego domu niczym jakaś złodziejka.

Nikt jej tu przecież nie zaprosił.

Wchodziła po cichutku, po jednym stopniu, aż doszła do obszernego salonu o niskim suficie. Dwa jednakowe okna z kwadratowymi szybkami wychodziły na ulicę, z której właśnie umknęła.

Otwarte okiennice przepuszczały delikatne światło. Przy schodach leżały sukna z filcu.

Drewniana jasna podłoga lśniła tak, że można się było w niej przejrzeć.

Julia zdjęła pantofle, żeby jej przypadkiem nie zabrudzić.

Przeszła na palcach przez salon, wchodząc w, wybrane na chybił trafił, jedne z dwojga drzwi prowadzących do dalszych pokoi. Znalazła się w kuchni. W ogromnej kuchni z sufitem z gołych czerwonych cegieł. Bukiety suszonych kwiatów zdobiły każdą półkę, a na kaloryferze wisiał koszyk pachnącej lawendy. Na długiej półce stały, ustawione w wielkim porządku, książki kucharskie.

Julia zawróciła do salonu, pytając samą siebie, czy ma nadal prowadzić swoje poszukiwania czy też może zrobiłaby lepiej, gdyby zeszła po schodach, dała parę kopniaków Flintom i wróciła do Willi Argo.

Weszła jednak w drugie drzwi i znalazła się w podłużnym salonie. Tu tapeta miała kolor lila, a okna były wyższe i węższe, okolone po bokach lnianymi czyściutkimi zasłonami. Trzy z czterech ścian zajmowały drewniane regały wypełnione równiutkimi rzędami książek, ułożonymi jedna obok drugiej według wielkości. Także ten pokój miał dwa wyjścia. Jedne drzwi były uchylone, a drugie szeroko otwarte na wielką łazienkę, w której udało się Julii zobaczyć umywalkę i lustro w złożonych ramach.

Drżąc, podeszła do półek z książkami. Bose stopy stąpały bezszelestnie po wywoskowanej podłodze. Lniane zasłony delikatnie się poruszały za jej plecami. Dzień był jasny i ciepły, odgłosy codziennej krzątania w miasteczku i Flintowie wydawali się już odległym wspomnieniem.

A jednak Julia czuła coś... dziwnego w tym wysprzątanym i pogodnym domu.

Zaczęła przeglądać książki w poszukiwaniu zeszytu.

- Kalipso? - zapytał jakiś głosik. Julia drgnęła.

To było tylko trochę mocniejsze od szeptu, podobne do odgłosu, kiedy się dmucha na bibułkę, żeby zadrzała. Ale wystarczyło, żeby dziewczynce po plecach przebiegł dreszcz.

- Kalipso, kochanie, to ty? - spytał ponownie drżący głosik. - Wróciłaś?

Julia zaczęła się trząść. Dziwne uczucie przeniknęło jej ciało i całą istotę. Wiedziała, że ów głosik należał do starej mamy Kalipso i że dochodził zza tych uchylonych drzwi, kilka kroków od niej.

„Usłyszała mnie” - pomyślała Julia.

Przystanąła nieruchomo i nasłuchiwała. Dochodził ją jakby szelest pościeli i skrzypienie sprężyn starego materaca. Potem ciężkie westchnienie, które głęboko ją poruszyło.

„Może czegoś potrzebuje” - pomyślała Julia, przypominając sobie, że stara matka Kalipso była unieruchomiona w łóżku. „Może mnie zawołała myśląc, że...”.

Julia stała zesztywniała z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Podjęła decyzję w czasie potrzebnym do zrobienia dwóch kroków po lśniącem parkiecie i oparła dłoń na mosiężnej gałce od uchylonych drzwi. Otwierając je nieco szerzej, zerknęła do środka i udało się jej zobaczyć komódkę z białym marmurowym blatem i wielkie łoże, na którym spoczywało bledziutkie ramie.

- Kalipso, kochanie? - spytał znowu głosik.

Zebrawszy na odwagę, Julia wychyliła się spoza drzwi nieco śmieiej. Cały czas wpatrzona w blade ramie, prześlizgnęła po nim wzrok, aż dostrzegła maleńką i pomarszczoną twarz starej kobiety. Była okolona cienkimi i rzadkimi śnieżnobiałymi włosami, które przylegały do skóry

w kolorze kości słoniowej. Na twarzy miała sieć zmarszczek przypominającą dziecięce bazgroły, a jej oczy były wielkie i jasnoblękitne.

Leżała na łóżku, a była tak chuda, że pościel prawie w ogóle nie wybrzuszała się nad jej ciałem. Głowa, zagłębiona w wielkiej poduszce, przypominała gałkę laski.

Julia uśmiechnęła się do niej.

-Nie jestem Kalipso, proszę pani... - powiedziała. - Jestem Julia. Czy mogłabym pani w czymś pomóc?

Staruszka poruszyła lekko głową. Błękitne oczy zamknęły się i otworzyły, a na jej twarzy odmalował się rozmarzony uśmiech, jak u człowieka, który przyzwyczał się już do traktowania swojej pamięci jako czystego przypadku.

^_w domu kalipso_^

- O, mama, to ty! - powiedziała staruszka z rozbijającą prostotą.

Julia znieruchomiała. Mama Kalipso musiała całkowicie pomylić role, czas i wiek.

Na oczach dziewczyny starowinka podniosła rękę do ust jak małe dziecko i zaczęła przeproszać:

- Przykro mi, mamó. Nie chciałam.

Julia wpatrywała się w nią. Chciała odejść, ale coś ją powstrzymywało.

- Mamó, przepraszam - powiedziała staruszka. - Naprawdę przepraszam! - i zaczęła szlochać.

Julia zupełnie nie wiedziała, jak ma się zachować. Pragnęła uciec, ale absurdalność tej sytuacji kazała jej zostać, mimo że rola uczestniczki w tej grze zupełnie jej nie odpowiadała. Była to dziwna gra ciekawości i mimowolnego okrucieństwa.

-Ja nie chciałam otworzyć tych drzwi, mamó... - powiedziała staruszka, zamykając oczy. -

Wiem o tym. Jasne, że mi to mówiłaś, wiedziałam, że nie powinnam tego zrobić.

Julia miała ochotę zatkać sobie uszy rękami.

- Wybacz mi, mamó.'

I potem znowu.

-Wiem, że zbudowanie tych drzwi kosztowało cię moc wysiłku.

O jakich drzwiach ona mówiła?

- Wiem, że są niebezpieczne i że powinny pozostać zamknięte! - użalała się nadal staruszka, zakrywając sobie twarz ręką. Potem podniosła nagle wzrok i potrząsnęła gwałtownie głową. Włosy rozsypały się po poduszce jak pajęczyna. - Oczywiście, że nie mówiłam o tym nikomu! Nikomu! Przysięgam! Nikomu, nikomu, mówię ci prawdę!

Julia cofnęła się pół kroku. To było dla niej za wiele, nie mogła tego dłużej słuchać.

- Widzisz, że byłam grzeczna, prawda? - ciągnęła stara kobieta na swoim wielkim łożu.

- Nie odchodź! Mamó! Podejdź bliżej. Poczytaj mi książkę.

Julia spróbowała pokręcić głową, ale nie udało się jej. Miała szyję sztywną jak z drewna.

- Podejdź do mnie, mamó! - nalegała staruszka.

Nogi Julii ruszyły same. Mechanicznie, jak nakręcana

lalka, zbliżyła się do łóżka.

-Jakaś piękną opowieść, mamó, z tych zapisanych przez tatusia!

Julia poczuła narastającą gorączkę, miała coraz gorętsze policzki i dłonie.

- Opowieści tatusia trzymam zawsze w komódce.

Głos staruszki był słaby i cieniutki, ale nalegający.

- Otwórz komódkę, mamó.

Komódka znajdowała się parę kroków od Julii.

- i wyjmij książkę.

Mały mebelek, w nim szufladka. Biał z białego marmuru z wygaszoną lampą pod abażurem.

Julia po prostu podeszła posłusznie do komódki, niezdolna sprzeciwić się poleceniu.

- Piękną opowieść z podróży, tak - ciągnęła tymczasem staruszka. - Z tych, które lubię. Z pięknej podróży, nawet jeśli ja jeszcze nie mogę podróżować, mam. Ponieważ to jest niebezpieczne, naturalnie.

Matka Kalipso uniosła rękę znad łóżka, rękę przezroczystą i chudziuteńką jak piszczele szkieletu.

Wyciągnęła ją w kierunku twarzy Julii.

Dziewczynka otworzyła szufladę w komódce.

- Piękną historię...

W szufladzie leżała książeczka.

Zeszyt z podróży.

Książka Morice'a Moreau.

-Chciałabym posłuchać historii o Miasteczku, które umiera... - Ręka staruszki dotknęła policzka Julii, by ją pogłaskać.

Nagle wszystko się w niej usztywniło: ręka, ramię, pomarszczona twarz starej kobiety. Jej nieruchomo patrzące oczy stały się zimne jak dwie szklane kulki.

Na jej twarzy, przed chwilą łagodnej i zagubionej, odmalowało się przerażenie.

- TY NIE JESTEŚ MOJĄ MAMĄ! - krzyknęła staruszka, otwierając szeroko usta.

Julia się cofnęła.

- KIM JESTEŚ? KIM JESTEŚ? - krzyknęła mama Kalipso, a jej wychudzona pierś za każdym oddechem ciężko unosiła się pod prześcieradłem, którym była przykryta.

Julia chciała poruszyć głową, chciała wyjaśnić, że oczywiście nie jest matką starszej pani, ale stała jak skamieniała.

- POMOCY! KALIPSO! POMOCY!

Julia chwyciła zeszyt, przewracając komódkę, i uciekła - przestraszona i speszona.

Rozdział 17

SKOK W PRZEPAŚĆ

Anita poderwała się błyskawicznie.

Rzuciła się na Ricka i złapała razem z nim za koniec liny. Znalazła się mniej niż metr od krawędzi przepaści, w którą spadł Jason.

Lina odwijala się gwałtownie. Upłynęły może dwie sekundy, niezwykle długie. A potem, kiedy już wydawało się, że jakoś to będzie, nagle potwornie szarpnęło. Lina pociągnęła ich oboje z szaleńczą siłą i teraz Rick z Anitą sunęli na brzuchach coraz bliżej przepaści.

- A A A A A A A A A A A A A A!

Anita próbowała hamować każdym centymetrem ciała. Nie wypuściła jednak liny, nie puścił jej też Rick, któ-

ry zacisnął zęby i trzymał ją ze wszystkich sił. Zatrzymali się kilka centymetrów od przepaści.

Lina w ich rękach była napięta i wolno się kołysała.

Rick dał głową znak Anicie, żeby mu pomogła.

Posłuchała go. Cały czas, leżąc mu na placach, żeby pomóc mu utrzymać linę, zsunęła się do jego kostek i chwyciła go za nie najmocniej jak potrafiła.

Centymetr po centymetrze wycofywali się oboje znad krawędzi tarasu, coraz dalej od przepaści, ciągnąc ze sobą linę ginącą w otchłani.

Było to wyczerpujące i trwało długo.

Na koniec udało im się wyciągnąć Jasona.

Chłopiec chwycił za krawędź tarasu, podciągnął się i ciężko sapiąc, przekręcił się na wznak.

-Jason!

- Jesteś cały?

Jason sapał jak miech kowalski, leżąc z zamkniętymi oczami. Miał zadrapania na palcach i paskudne rozcięcie na czole.

- Nic mi nie jest - odpowiedział po chwili.

Otworzył oczy i spojrzał: najpierw w oczy Anicie, potem na Ricka.

Potem podniósł prawą rękę, zbliżył do siebie kciuk i palec wskazujący, a następnie powoli rozsunął je na jakieś niecałe dziesięć centymetrów.

- O, tyle - powiedział. - Tyle mi zabrakło.

. _skok w przepaść_ ^

- To był skok niewykonalny - zauważył Rick. - Nie mogłeś nic więcej zrobić. Czas był właściwy i miałeś przychylny wiatr.

Jason, zwinięty teraz w kłębek, zakasłał, po czym zaczął się dźwigać na nogi.

-Reguła trzecia Jasona Covenanta... - powiedział i zamilkł na dłużej. Stopniowo odzyskiwał na twarzy kolory i już spokojniej oddychał. - Różnica między prawdziwym mężczyzną a ofermą jest ta, że prawdziwy mężczyzna nigdy się nie cofa. I na koniec bierze to, co chce.

-Jason...

Młody Covenant wstał i lekko się zatoczył.

Podbiegła do niego Anita i podtrzymała go, pozwalając się objąć. Pogłaskała go po zranionym czole i spytała, czy go to boli.

Jason przytaknął, patrząc na nią.

- Popeliłem wcześniej błąd.

- Jesteś szalony - odpowiedziała dziewczynka. - Wszyscy jesteśmy szaleni.

Jason pokręcił przecząco głową.

- O, nie. Tak trzeba było. Ale mój błąd polegał na tym, że nie wyrusza się w ten sposób na podobną akcję.

- A jak się wyrusza?

-Tak - odparł Jason, obejmując ją mocniej i całując w usta.

Anita zeszywniała, ale uścisk Jasona był silny i zdecydowany. Po pierwszym zaskoczeniu musiała przyznać, że nie było to... nieprzyjemne.

Ten trochę niezgrabny, niespodziewany pocałunek najpierw nie zrobił na niej wrażenia, nawet nie przymknęła oczu. Ale potem zwróciła lekko twarz ku niemu.

Pozwoliła mu się pocałować.

Wiatr kołował.

A ona zamknęła oczy.

- RUSZAJ, JASONIE! PĘDŹ!

Jason ruszył całym pędem, dokładnie tak, jak za pierwszym razem. Ale teraz z sercem o wiele lżejszym.

„Jeżeli doleciałem aż tu” - pomyślał chłopiec „to znaczy, że musiałem tu dolecieć. Jeżeli musiałem tu dolecieć, to znaczy, że mogę przeskoczyć. Jeżeli mogę przeskoczyć, to znaczy, że...”.

Odbił się od twardego gruntu pod nogami. Skoczył nad przepaścią, kiedy wokół niego szalał wiatr. Poczul pod sobą po raz drugi wir idący od czarnej przepaści i wiedział, był pewien, że ta rozpadlina nie ma dna.

W powietrzu skulił się w kłębek, pozwalając, żeby wiatr go podtrzymał i popchnął tam, gdzie sam już nie doskoczy.

Pofrunął na skrzydłach wiatru aż upadł na drugi brzeg przepaści.

Pozostał chwilę na kolanach, na krawędzi przepaści, jak pantera. Sześć metrów od niego, z napiętą liną w rękę, przyglądał mu się Rick szeroko otwartymi oczami. Jason czuł palące wargi. Ucałował swoją lewą rękę, potem prawą, następnie wstał i wznosił triumfalnie pięść ku niebu.

Mógł sobie szaleć wiatr, mogły się zrywać huragany, mogły walić pioruny.

On przeskoczył.
Odwrócił się, by spojrzeć do tyłu.
Jasona Covenanta ucałowała odwaga.
I dzięki odwadze i pomocy Anity udało mu się.

Rozdział 18 UCIECZKA Z WENECJI

W Wenecji światło w południe miało w sobie coś magicznego i nierealnego. Rozsypywało złote płatki na wodzie, które rozpryskiwały się po lagunie jak garście cekinów. Tommaso Ranieri Strambi pedałowal wolno na pokładzie mechanicznej gondoli Petera Dedalusa. Był zmęczony i przestraszony.
Dokonał pewnego odkrycia.
Odkrycia niezwykle ważnego.
Wrócił do Domu Bazgrołów. Zobaczył drzwi ciągle jeszcze otwarte, tak jak je zostawił, kiedy został porwany przez Eca, i wszedł do domu, żeby spojrzeć na freski francuskiego malarza. Chciał zrozumieć, dlaczego ten dom

budził w nim taki lęk. Otworzył wszystkie okna, żeby wpuścić światło i...

Co ujrzal?

Twarze. Twarze wyglądające z' ciemności.

Twarze małp.

I oblicza innych zwierząt.

„Teraz rozumiem...” - szepnął, zanim jeszcze naprawdę cokolwiek zrozumiał.

Od tej chwili nie mógł już opanować drżenia. Strach, jaki odczuwał za każdym razem, gdy przekraczał progi tego przeklętego domu, gdzie zginął człowiek, powieszony na ostatnim piętrze w czasie, gdy pożar niszczył wszystko, był niczym w porównaniu z lękiem, jakiego doznał, kiedy zaczął rozumieć.

Wszystkie te zwierzęta...

Małpa.

Jeżozwierz.

Dzięcioł.

Żaba.

Aligator.

Koń.

Smok.

Mamut.

Wieloryb.

Kot.

Lew.

Na chaotycznym i przerażającym fresku Morice'a Moreau pojawiały się znikąd, pośród gęstego listowia drzewa, z korzeniami zawisłymi w pustce. Wychylały się z ciemnej jamy schodów. Na dole czekał na nie kowal uzbrojony w imadło i młot. Jak Hefajstos z mitów greckich, kowal bogów.

Było też inne stworzenie na tym malowidle: kruk, który latał w jedynej przestrzeni, jaką miał do dyspozycji, kruk makabryczny i straszny.

Były to te same zwierzęta, które wyryto na główkach kluczy od Wrót Czasu. Wszystkie z wyjątkiem kruka.

A teraz widniały tu, wymalowane w Domu Bazgrołów.

To nie mógł być przypadek.

Kiedy Tommaso zdał sobie z tego sprawę, w jednej chwili zrozumiał, że ten dom zawierał coś znacznie więcej niż zwykle malowidło. Ten dom, cały ten dom, był zaszyfowaną wiadomością pozostawioną dla kogoś, kto będzie w stanie ją rozszyfrować.

Teraz Tommaso pedałowal na pokładzie mechanicznej gondoli Petera Dedalusa, pragnąc z całego serca, by była tu z nim Anita, żeby mógł jej opowiedzieć o swoim odkryciu. U jego stóp, na dnie gondoli, leżała wielka teka na fotografii.

Wcześniej, kiedy dotarło do niego, że freski w Domu Bazgrołów zawierają jakąś tajemną informację, nagle zro-

zumiał, dlaczego Podpalacze zainteresowali się nim i związanymi z nim osobami. Morice i Ulysses, obaj mieli coś wspólnego z miejscami wyimaginowanymi: jeden je namalował, a drugi mieszkał w miasteczku, które nie istniało.

Tommaso udał się więc biegiem do Domu Bazgrołów, wpadł na drugie piętro, ogarnięty narastającym niepokojem, w poszukiwaniu czegoś, co widział w rękach mamy Anity kilka dni wcześniej. Była to ogromna teka na fotografii. Mama Anity, profesjonalistka w każdym calu, fotografowała freski na każdym etapie prac konserwatorskich.

Kiedy Tommaso znalazł tę tekę, schwycił ją i zbiegł ze schodów aż na sam dół. W pewnej chwili jednak zatrzymał się, tknięty nagłą myślą.

To było nazbyt niebezpieczne pozostawiać te malowidła na widoku wszystkich...

Położył zatem tekę ze zdjęciami na ziemi, wrócił na piętro wyżej, chwycił pojemnik z białym werniksem i chlusnął nim na malowidła. Zamazał całą powierzchnię ściany na klatce schodowej, likwidując freski na zawsze.

Potem zbiegł na dół, zabrał tekę i pobiegł w stronę kanału, nie oglądając się za siebie.

Wskoczył do mechanicznej gondoli.

Jak jakiś wandal. Jak kryminalista.

Zaplamiał i być może uszkodził na zawsze dzieło sztuki.

Bazgroły.

Zwierzęta z kluczy.

Twarze i oblicza, które go obserwowały spośród listowia drzewa bez korzeni.

Tommaso Ranieri Strambi zostawił to wszystko za sobą i teraz sunął po wodzie w gondoli Petera Dedalusa w poszukiwaniu calle dell'Amor degli Amici.

Calle dell'Amor degli Amici oczywiście nie było.

Nie było w jego w Wenecji.

Chłopiec starannie przeszukał każdy metr kwadratowy wody między calle Centani, campo dei Frari i calle dei Saoneri, ale nie udało mu się odnaleźć zaułka i bramy, o których czytał w książkach Ulyssesa Moore'a.

Była już prawie pierwsza i Tommaso był mocno zmęczony.

Pozwolił, żeby prąd od laguny zepchnął go na nabrzeże małego uczęszczanego kanału, i zaczął się zastanawiać. Przypomniał sobie, jak to z Anitą pytali tłumacza dzienników Ulyssesa Moore'a, jak odnalazł Kilmore Cove. Tłumacz podarował wtedy Anicie swój zegarek, mówiąc, że będzie jej potrzebny.'

Przedmiot pochodzący z miejsca, do którego chce się trafić...

Tommaso był właśnie na pokładzie, który należał do wyimaginowanego miejsca: na pokładzie gondoli me-

chanicznej Petera Dedalusa. I miał przy sobie jeszcze pelerynę i maskę pierwszego z Podpalaczy: hrabiego Cene-re. A zatem tych przedmiotów mu nie brakowało.

Tłumacz wyrecytował wtedy jeszcze wyliczanek, która służyła za przewodnik.

Przewodnik.

Oto, czego mu brakowało. Tommaso nie miał przewodnika. A może to gondola. Czy gondola mogła być jego przewodnikiem? Nachylił się nad trybami zajmującymi dolną część łodzi,

poszukując jakiegoś napędu zainstalowanego przez Petera. Na przykład pilota automatycznego.

Znalazł jakąś dźwignię, małą czerwoną dźwignienkę zakończoną gałką z białej ceramiki oznaczoną na wierzchu literą „K”. Czy „»K« jak Kilmore Cove?” - zadał sobie pytanie. Szarpnął za dźwignię i gondola pomalutku ruszyła. Żeby niczego nie zaniedbać, na wszelki wypadek Tommaso nałożył na siebie pelerynę hrabiego Cenere i nasadził sobie na twarz długą ptasią maskę.

„Muszę wierzyć” - pomyślał, kiedy mechaniczna gondola sunęła sama, mijając po lewej stronie wysoką dzwonnice dei Frari.

„Muszę tylko mocno wierzyć”.

Gondola skręciła w lewo i wpłynęła w wąski kanał, który Tommaso przepłynął tego ranka już dwukrotnie. Zamknął oczy, poprawiając sobie maskę na nosie.

^ _ucieczka z wencji_ ^

Odetchnął głęboko i pozwolił, żeby gondola posuwała się sama.

Klik, stuknęło drewno, kiedy dobiło do kamiennego nabrzeża.

Klik. Klik.

Tommaso otworzył oczy i rozejrzył się wokół. Wąski i długi kanał, z zaułkiem po prawej stronie. Dobrze mu znany.

- Nic się nie wydarzyło... - szepnął cichutko.

Wszystko było całkiem takie samo jak przedtem. Mu-

lista woda i fasady domów wychodzące na kanał.

Przygryzł usta.

Nie dosyć wierzył. Popelnił błąd. Wrota Czasu nie istniały. W każdym razie nie w Wenecji.

Wolniutko podniósł wzrok na dachy domów, obserwując kominy i anteny...

Nagle poderwał się na równe nogi, ryzykując utratą równowagi w gondoli. Rozejrzył się dokoła zdumiony: żadnej anteny, żadnego drutu elektrycznego czy kabla telefonicznego.

- No nie... - szepnął, wyskakując na ląd. Okręcił szybko linę wokół pachołka i wszedł w zaułek.

W głębi, po lewej, stronie były schodki, które wyglądały jak wymalowane na boku domu, a u szczytu tych schodków widniały drzwi.

Czy był w 1751 roku?

Tommaso otworzył drzwi i wszedł do ciemnego pokoju zastawionego meblami i zagraconego jakimiś starymi bibelotami.

I zobaczył coś, co sprawiło, że o mało nie zemdłał.

Za meblami były drzwiczki. Wrota Czasu, które powinny być jeszcze otwarte. Ostatnio korzystał z nich Fred Spiczuwa, przynajmniej według książki Ulyssessa Moore'a. Tommaso nie wiedział, co się wydarzyło potem. Może Fred powrócił do Kilmore Cove przez te drzwi? Albo... albo i nie. Zatem Wrota czasu powinny być jeszcze otwarte.

Tommaso przecisnął się między tysiącem gratów, jakie zawałały pokój, i spróbował otworzyć drzwiczki ukryte w głębi.

Otworzyły się.

-Teraz, co najwyżej trafię do czyjejs sypialni... - mruknął.

Potem, nie stawiając sobie żadnych dalszych pytań, przeszedł przez drzwi.

Rozdział 19

WALIZKA WOJNICZA

Malariusz Wojnicz nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz wyruszał w podróż. Ale doskonale pamiętał, że było to coś, czego nienawidził. Już same przygotowania były dla niego czymś całkowicie obrzydliwym.

Ile czasu spędzi poza domem? Kilmore Cove było w Kornwalii, a Kornwalia leżała daleko.

Dzień?

Dwa?

Trzy?

Oznaczało to, że będzie musiał spać w hotelu. Bardzo dobrze.

Z pedantyczną dokładnością ułożył w walizce w szkocką kratę szlafrok, piżamę, maseczkę na oczy, zatyczki do uszu.

Lekarstwa. Wszystkie lekarstwa.

Już są.

Koszule. Trzy koszule.

Już są.

Spodnie. Dwie pary spodni.

Już są.

Osiem par skarpet. Wszystkie jednakowe i jednakowej długości.

Już są.

I co jeszcze?

Co jeszcze może mu być potrzebne?

Nitka do czyszczenia zębów. 15 centymetrowa.

Już jest.

Będzie daleko od swego mieszkania, doskonale klimatyzowanego, a pogoda mogła się zmienić, na przekór prognozom. Kornwalia słynęła przecież z nieprzewidzianych zmian pogody.

Płaszcz nieprzemakalny. Lekki sweter. Sweter gruby. Oba szare.

Już są.

I co jeszcze?

Podszedł do biurka i oparł rękę na czarnej skórkowej teczce przewiązanej kokardką. Pomyślał chwilę, rozwiązał kokardkę i otworzył teczkę.

Zawierała 57 stron rękopisu w formacie A4; na każdej stronie było 30 wersów po 60 znaków, z podwójną interlinią, czcionką Times New Roman. Na pierwszej stronie widniał tytuł:

Serce nie sługa - Powieść -M. Wojnicza

Następne 56 stron zawierało początek owej powieści. Dzieło doskonałe, bez zbędnych dygresji. Powieść absolutna, ostateczna, nad którą Wojnicz pracował w wielkiej tajemnicy od pięćdziesięciu siedmiu lat. Jedna strona rocznie, pomału, uważnie, precyzyjnie.

Nikt nie wiedział o istnieniu tego dzieła. Malariusz Wojnicz uważał je za wspaniały owoc swojej twórczości, a zarazem za swoją jedyną słabość.

Kiedy zadzwonił telefon, głowa szefa Podpalaczy podskoczyła. Wsadził pospiesznie zapisane stronicie z powrotem w czarną teczkę, jak dziecko przyłapanie na dobieraniu się palcami do konfitur w słoiku.

- Wojnicz! - zawołał, podnosząc słuchawkę.

To był Eco.

- Stoję przed Domem Bazgrołów, doktorze Wojnicz. Jest tu też pani Bloom, konserwatorka - wyjaśnił Podpalacz z Wenecji.

Malariusz Wojnicz nie odezwał się ani słowem.

-Dzwonię do pana, ponieważ właśnie nadeszła nowa wiadomość od małej Bloom. Pisze:

Najdroższy Tommi, jesteśmy na granicy. A Jason dopiero co przeskoczył na drugą stronę.

Bardzo się boję, ale teraz możemy przejść. Słucha mnie pan, doktorze Wojnicz? Co pan o tym myśli? Doktorze Wojnicz?

- Słucham, słucham.

- Wydaje mi się, że to ważne...

-Posłuchaj mnie uważnie, Eco. Szykuję się właśnie do Kilmore Cove, żeby osobiście uporządkować te sprawy.
-Wiem, doktorze Wojnicz. A ja dołączę do pana w Londynie, jak tylko...
-...JAK TYLKO uporządkujesz te sprawy z panią Bloom. I może odnajdziesz małego wandalę, małpiego kawalera. Ale ponieważ ja wyjeżdżam, prosiłbym, żebyś mnie nie informował na bieżąco, za każdym razem, jak otrzymasz nową wiadomość od małej Bloom.
- Wydawało mi się, że to ważne...
- Od tej chwili kieruj te wiadomości do Braci Noży-ców, którzy są na tropie małej Bloom.
- Doktorze Wojnicz, ja...
- Bracia Nożyce nabyli za własne środki komórkę francuską, numer +33 3648 39327. Ostatnim razem, kiedy ich słyszałem, byli w lesie. Zadzwoń do nich szybko, zanim ich nie rozszarpie stado rozszalałych dzików. Jasne?

- Dzwonię do pana, ponieważ właśnie nadeszła nowa wiadomość od małej Bloom. Pisz: Najdroższy Tommi, jesteśmy na granicy. A Jason dopiero co przeskoczył na drugą stronę. Bardzo się boję, ale teraz możemy przejść. Słucha mnie pan, doktorze Wojnicz? Co pan o tym myśli? Doktorze Wojnicz?

- Słucham, słucham.

- Wydaje mi się, że to ważne...

-Posłuchaj mnie uważnie, Eco. Szykuję się właśnie do Kilmore Cove, żeby osobiście uporządkować te sprawy.

-Wiem, doktorze Wojnicz. A ja dołączę do pana w Londynie, jak tylko...

- ...JAK TYLKO uporządkujesz te sprawy z panią Bloom. I może odnajdziesz małego wandalę, małpiego kawalera. Ale ponieważ ja wyjeżdżam, prosiłbym, żebyś mnie nie informował na bieżąco, za każdym razem, jak otrzymasz nową wiadomość od małej Bloom.

- Wydawało mi się, że to ważne...

- Od tej chwili kieruj te wiadomości do Braci Noży-ców, którzy są na tropie małej Bloom.

- Doktorze Wojnicz, ja...

-Bracia Nożyce nabyli za własne środki komórkę francuską, numer + 33 3648 39327.

Ostatnim razem, kiedy ich słyszałem, byli w lesie. Zadzwoń do nich szybko, zanim ich nie rozszarpie stado rozszalałych dzików. Jasne?

^ _walizka wojnicza_ ^

To powiedziawszy, rozłączył się.

Rozejrzał się dokoła podejrzliwie i wsunął teczkę z 57 stronami do walizki.

Potem sprawdził po raz kolejny wszystko, co przygotował, i na wierzch dorzucił swój parasol miotający ogień, model „platynowy”. W końcu zamknął walizkę.

- Ulyssesie Moorze... - mruknął z nienawiścią. - Teraz się przekonamy, który z nas jest silniejszy.

-Wyeliminowawszy niemożliwe... - powiedział kędzierzawy - wszystko, co pozostaje, jakkolwiek wydaje się nieprawdopodobne, to prawda.

- Prawda jest prosta - zauważył blondyn stojący obok. - Sherlocku Holmesie.

Bracia Nożyce dotarli właśnie w Pirenejach do tarasu zawieszonoego nad przepaścią. Wiatr wirował wokół nich, podczas gdy wpatrywali się w linę rozciągniętą między dwiema krawędziami rozpadliny. Jeden koniec liny był przywiązany do podstawy posagu uskrzydłonej kobiety, drugi - do kamienia.

Kędzierzawy obrócił się w stronę brata, unosząc parasol.

- Błąd: sir Arthurze Conan Doyle'u.

- Co on ma do tego? Zdanie wypowiada przecież Sher-lock Holmes w Psie Baskewillów.
- Błąd numer dwa, braciszku. Jeśli już, to sir Arthur Conan Doyle każe je wypowiadać swojemu bohaterowi.

Znudzony blondyn odszedł.

-To nie jest czas na rozważanie takich subtelności, musimy postanowić, czy i jak iść dalej.

- Kierunek jest oczywisty - powiedział kędzierzawy, walcząc z podmuchami wiatru. Pomacał uchwyt liny rozciągniętej nad przepaścią. - Myślisz, że nas utrzyma?

- Nie wiem. Ale, proszę, najpierw ty.

- Dlaczego ja?

-Ja szedłem przodem przez całą łąkę. Spójrz tylko na moje spodnie. Zgarnąłem tysiące żdźbeł trawy. Mój garnitur z parzonej wełny nadaje się do wyrzucenia!

- No to jest jasne, że właśnie ty pójdziesz pierwszy, zważywszy że twój garnitur już i tak jest do wyrzucenia i nie zachodzi ryzyko, że go uszkodzisz, kiedy zaczepisz o skały tam w dole.

Przechylili się jednocześnie, by spojrzeć w dół.

- A propos. Widzisz skały w dole?

- Nie, braciszku. Całkiem ich nie widzę.

- Czy to jest naprawdę konieczne, żeby iść dalej? Co będzie za tą rozpadliną?

- Nie mam zielonego pojęcia, bracie. Ale, proszę cię, ja po tobie.

Rozdział 20

TAJEMNA BRAMA

Kiedy dotarli do jeziora, chmury zaczęły gwałtownie gęstnieć.

Po przeciągnięciu się na linie nad przepaścią Rick, Jason i Anita szli dalej, prawie nie rozmawiając. Anita odkryła, że jej komórka już nie działa. Przydarzyło się jej to samo, co w Kilmore Cove. Czyżby to był znak, że zbliżają się do celu?

Ścieżka zaczęła bieć wśród gór aż do doliny otoczonej wysokimi stromiznami. Pejzaż był surowy, ale niższe stoki pokrywały całe połacie lasu.

Było popołudnie. Słońce zaczynało się zniżać.

Podążając ciągle na wschód, dotarli do jeziora z trzema wodospadami.

Nie spodziewali się tak wspaniałego widoku: jezioro znajdowało się wyżej, w kotlinie, formując idealnie okrągłą nieckę otoczoną ponad dziesięciometrowymi skałami. Z góry spływały do niego trzy spienione kaskady, napełniając powietrze straszliwym hukiem.

Wszyscy troje mieli wkrótce mokre włosy, które przylegały do głowy, a ubrania - nasączone wodą.

- Czy widzicie tu jakąś bramę? - spytał Jason, spoglądając na wodospad.

- Nieee! - Anita próbowała przekrzyknąć huk wody.

- Poczekajcie tu na mnie! - krzyknął Rick i podał im swój plecak. I nic nie tłumacząc, zaczął wspinać się po śliskich skałach, wzdłuż wodospadu, czepiając się korzeni drzew.

Doszedł do szczytu, skąd spływały kaskady, w niecały kwadrans. I tam, dosłownie, zaparło mu dech z wrażenia.

Przed nim otwierała się dolina w kształcie pierścienia, całkowicie wypełniona przez rzekę. Woda, która rozdzielała się tu, tworząc trzy kaskady, okrążała owalną górę wyrosłą przed chłopcem niczym ogromna baba wielkanocna postawiona do góry nogami. Na szczycie tej skalistej „baby” rósł gęsty zielony las. Obłoki wody i piany wirowały w powietrzu, zamazując zarysy tego dzikiego i pierwotnego pejzażu. Niebo było zamglone ze smugami światła czerwonego i pomarańczowego.

Starając się zachować równowagę, lawirując między głazami, Rick podszedł w stronę rzeki. Spojrzał w dół, wypatrując Anity i Jasona w gęstwinie lasu, ale nie udało mu się ich dostrzec. Nie było też pewne, czy oni mogli widzieć jego. Ale nie zależało mu na tym. Jediną osobą, którą chciałby zobaczyć, była Julia, a o ile wiedział, Julia była w Kilmore Cove, ciągle w łóżku i z gorączką.

Poślizgnął się na mokrym i śliskim kamieniu i uderzył w nogę tak, że aż krzyknął.

„Ostrzeżenie” - pomyślał. „Nie wolno mi się rozpraszać”.

Podjął wędrówkę z większą ostrożnością i jednocześnie rozglądał się wkoło. Pamiętał doskonale wskazówki Morice'a Moreau. Jeśli brama będzie zamknięta, pamiętajcie, żeby nie stukać. Natomiast nie będzie niegrzecznie zamknąć wodę. „Do jakiej bramy nie wolno zastukać?” - zapytał sam siebie. I odpowiedź nasunęła mu się prawie natychmiast. „Do bramy uczynionej z wody”.

A ponieważ nie było niegrzecznie zamknąć wodę, mogło to oznaczać jedynie to, że musiał być sposób, by to uczynić.

-A co do tego, co wydarzyło się wcześniej, Jasonie... - zaczęła Anita, kiedy zostali sami. Jason unikał jej wzroku.

- Wybacz mi. Przykro mi. Nie wiem nawet, dlaczego to zrobiłem.

- Aha - powiedziała Anita. - Nawet nie wiesz, dlaczego to zrobiłeś?

- Właśnie - ciągnął Jason. - Nie wiem. Ale to nie powód do robienia tragedii.

„Jakiej tragedii?” - chciała zapytać go Anita. Chciała mu też powiedzieć, że ten pocałunek wcale nie był dla niej niemiły. Tyle że nie chciała tego wyrazić tak całkiem wprost, tylko tak jakoś... opisowo, tak trochę dokoła, ale żeby to nie pozostawiało żadnej wątpliwości.

Chciała dać mu do zrozumienia, że to jest w porządku, no... to, że pocałowali się.

I że to był jej pierwszy pocałunek.

I że, do licha, to był fantastyczny pocałunek.

Anita chciała tylko powiedzieć, że... była zadowolona z tego, co się stało. A tymczasem, teraz wydawało się, że on chce to... jakby skasować. Jakby nic się nie wydarzyło.

Odkąd pokonali przepaść, doszła do głosu pierwsza reguła Jasona Covenanta: oboje ze sobą nie rozmawiali, nie dotykali się ani nawet na siebie nie patrzyli.

Całkiem jakby Anita była... zadżumiona.

- Jason, nie rozumiem cię - powiedziała dziewczynka zbyt cicho, by mógł ją usłyszeć.

- Idę zobaczyć, czy Rick nie potrzebuje pomocy - obwieścił. - A ty pilnuj plecaków.

- Jasne. Ja pilnuję plecaków.

Jason zniknął pośród drzew. Chwilę później dał się słyszeć przedziwny hałas jakby zeskrobywania kredy z największej tablicy świata.

Anita zatkała sobie uszy, podczas gdy Jason wracał do niej pędem, żeby się upewnić, że nic złego się nie dzieje.

- Co się stało?

- Nie mam pojęcia. Wydawało się... nie wiem... że...

-Jason, spójrz!

Jedna z trzech kaskad jakby wypuszczała coraz mniej wody, aż do zupełnego przerwania. I tam, gdzie był wodospad, teraz widać było wnękę zamkniętą czarną bramą z wyrytą wielką literą „A” lśniąca złotem.

- Arkadia - wyszeptali jednocześnie Anita i Jason.

Rozdziału 21

PLAŻA

Julia wybiegła bosą z domu Kalipso na ulicę. Flintowie ledwie zdążyli ją zobaczyć, tak szybko przemknęła im przed nosem, przecinając jak błyskawica plac w miasteczku.

- Widzieliście, co za numer? - zapytał wielki Flint.

- Taaa... ale numer.

Mały Flint wydał rozkaz dwóm pozostałym, by ruszyli za dziewczyną i wszyscy rzucili się w pościg.

Julia przebiegała przez uliczki Kilmore Cove z sercem podchodzącym do gardła, czując, że dokonała najgorszego czynu w swoim życiu. Przebiegła główną ulicę i wbiegła na deptak wzdłuż morza. Z przystani zeskoczyła na piasek i popędziła przez plażę, biegnąc aż do linii wodnej. Dopiero kiedy poczuła zimną wodę na stopach, zaczęła się pomału uspokajać.

W ramionach ścisnęła z całej siły cenny zeszyt Morice Moreau.

Podniosła go teraz w górę i jeszcze raz sprawdziła.

To był ten.

Identyczny jak zeszyt Anity.

Otworzyła go.

Te same ilustracje. Te same rameczki...

- Hej tam, małpeczko! - zawołali Flintowie.

Julia zamknęła szybko zeszyt i schowała go za plecami. Kuzyni spoglądali na nią jak trzy sowy przycupnięte na przystani.

- Co tu robisz?

- Taaa... co tu robisz?

-1 co tam ukrywasz za plecami?

Julia jeszcze ciągle nie mogła wydobyć głosu. Cały czas miała przed oczami scenę ze starszą panią w łóżku, która nazwała ją mamą. I prosiła, żeby jej poczytała opowieść z tej książeczki. Którąś z opowieści tatusia.

Tego było za wiele na jeden raz. Teraz, kiedy jeden z Flintów znowu ją zapytał, co tam chowa za plecami, Julia po prostu zaczęła biec w stronę latarni morskiej.

- Zatrzymajcie ją!

- Biegiem!

- Ucieka nam!

Pościg na plaży zamienił się w prawdziwe zawody na wytrzymałość. Julia biegła po piasku bosa, podczas gdy trzej kuzyni podążali za nią po deptaku, nie tracąc jej z oczu. Kiedy plaża małego portu się skończyła, Julia przyspieszyła i wyprzedzając o krok trzech narwańców, uciekała dalej po deptaku, który ciągnął się wzdłuż wybrzeża aż do latarni morskiej i potem dalej, za miasteczko. Usłyszała, jak ręce małego Flinta łapały powietrze tuż-tuż za nią.

- Zatrzymaj się!

- Taaa... zatrzymaj się!

I jeszcze dalej, z tyłu za nimi:

- Kuzyni, wy też się zatrzymajcie!

Ale Julia nie miała zamiaru przystanąć. Przeciwnie, dodała jeszcze gazu w nogach i zostawiła ich wszystkich trzech daleko za sobą. Zrobiła to z taką łatwością, że aż sama była zdumiona.

Od wielu miesięcy bieg nie sprawił jej tyle zadowolenia.

Zatrzymała się i obejrzała, żeby zobaczyć, gdzie oni są.

- Poddaliście się, Flintowie? - krzyknęła wyzywająco.

Mały Flint obrzucił ją wzrokiem pełnym nienawiści i ruszył w jej stronę.

-Ty... małpeczko... nie drwij sobie z nas!

- Bo co? I tak nigdy mnie nie dogonicie! Nie macie szans, choćbyście nie wiem jak się starali!

Dwaj Flintowie podeszli bliżej, a trzeci, największy z nich, ledwo się ciągnął sto metrów z tyłu. Julia była już gotowa do dalszego biegu, kiedy zobaczyła, jak mały Flint nagle zbladł i zatrzymał się w pół drogi.

Dziewczyna nie rozumiała, co się stało. Po chwili jednak, kiedy i drugi Flint przestał biec i wpatrywał się w coś za jej plecami, obejrzała się zaintrygowana.

I znalazła się twarzą w twarz z potworem.

Flintowie wrzasnęli i dali nogę. W jednej chwili zrobili w tył zwrot i popędzili w stronę miasteczka.

Julia tymczasem zrobiła krok w tył i przycisnęła do piersi zeszyt Morice'a Moreau, chroniąc go na wszelki wypadek. Ale nie wiedziała, jak miałyby się obronić przed tą przerażającą zjawą. Postać, która wyrosła przed nią, była ubrana cała na czarno, w pelerynie długiej aż do ziemi. I nosiła przerażającą maskę z ptasim dziobem, która nadawała jej straszliwy wygląd. Postać podniosła rękę i wskazała na Julię.

- To ty jesteś Julia, prawda? - zapytała głosem dalekim od budzącego grozę, raczej głosem jakiegoś chłopaczka.

Oślupiała Julia nie wiedziała, co ma zrobić. Mogła uciekać, albo... odpowiedzieć.

- Aha... tak. Jestem Julia.

Postać w czerni zdjęła maskę, pokazując twarz chłopca w wieku Julii.

- Nazywam się Tommaso Ranieri Strambi - przedstawił się. - I, kurczę, nie sądziłem, że jesteś taka wysoka.

Julia nic nie powiedziała. Ten typ w śmiesznym przebraniu nie tylko ją znał, ale wyobrażał sobie, że... jest inna?

- Wybacz, ale... mogę wiedzieć, kim jesteś?

- Och, jasne. Przybywam z Wenecji z 1751 roku. Wyspa Masek.

Julia zatoczyła się, ale chłopiec ciągnął dalej:

- To jest strój hrabiego Cenere, wydaje mi się, że już go poznałaś.

- Ale...

- W tej tece... są wszystkie zdjęcia Domu Bazgrołów. Fresków Morice'a Moreau... Czy wiesz, o czym mówię?

- Tak, ale...

- Anita ci już wszystko opowiedziała?

- Myślę, że...

- To doskonale. Ponieważ ja teraz muszę ci opowiedzieć drugą część. Nigdy byś nie uwierzyła... Nigdy byście nie uwierzyli... Objął spojrzeniem mały port, stare domy Kilmore Cove i w końcu Willę Argo, na szczycie urwiska.

- Ach, więc to ona. Jest dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażałem.

- Drugą część czego, przepraszam? - zapytała Julia, przyciskając jeszcze mocniej zeszyt.

Tommaso zrobił chytrą minę.

- Ha... odkryłem sekret Wrót Czasu. Wiem, jak się je konstruuje.

Podniósł tekę ze zdjęciami.

- Wszystko jest na tych fotografiach.

Rozdział 22

WSPINACZKA

Kiedy szli wąską śliską ścieżką okrążającą jezioro, żeby dotrzeć do otworu, który wcześniej przesłaniała kaskada, Rick opisał przyjaciołom to, co zobaczył z góry oraz jak znalazł i uruchomił prymitywny mechanizm zamykający wodę.

- Jest tam koło zębate, które skierowało wodę do kaskady środkowej, a ta tutaj... wyszła.

- Na jak długo?

- Nie wiem. Nie jestem pewien.

Istotnie, kiedy zbliżali się do bramy, już usłyszeli spadające strugi wody, coraz to silniejsze. & Przyspieszyli kroku i dotarli do bramy, kiedy kaskada za nimi powróciła z całą gwałtownością. Hałas spadającej wody był tak potężny, że zagłuszał ich głosy. Pchnęli bramę, która odchyliła się odrobinę, zaledwie na tyle, że zdołali przejść, po czym weszli w korytarz wykuty w skale.

Korytarz wznosił się stopniowo ku powierzchni. Wyszli na zewnątrz dokładnie u podstawy góry, którą widział Rick.

Słońce było teraz jak drżące koło na horyzoncie. Promienie czerwonego i pomarańczowego światła padały na górę w kształcie baby wielkanocnej, otoczoną pierścieniem rzeki; woda szumiała i pieniała się, jakby usiłowała odebrać przestrzeń, którą zajął masyw górski.

W tym momencie mogli zrobić tylko jedno.

-Gorąco radzimy nie ustawać podczas wspinaczki... - zarecytował Rick. - Strzeżcie się złudnych schronisk -dokończył wolno, z naciskiem.

Obeszli wkoło podstawę góry i na końcu znaleźli biegnący do góry równiutki rząd niewielkich wyźłobień, jak stopni w wapiennej skale.

- Sądzę, że Morice Moreau radzi nam nie tracić czasu tu na dole i... wspiąć się... - szepnął Jason. - Po tych wyźłobieniach.

- Akurat tego nam trzeba pod koniec dnia - odezwała się sarkastycznie Anita.

-Nie możemy tędy podchodzić - zauważył Rick. - Nie mamy sprzętu do wspinaczki.

- Mamy linę. I karabinki - odparł Jason. - Skóra wokół jego rany na czole zrobiła się fioletowa.

- Ale mamy też plecaki. Bardzo ciężkie.

Jason spoglądał do góry.

- Doszliśmy tak daleko, jesteśmy już o krok od Kraju który umiera... - szepnął. - Jestem absolutnie pewien, że on jest tam, w górze.

Oparł rękę w zagłębieniu pierwszego wyźłobienia. Kamień był ciepły od słońca.

- To chyba nie będzie trudne - powiedział. - Wyźłobienia są głębokie.

Wyciągnął rękę i natrafił bez trudu na następne wyźłobienie. Podciągnięcie się wyżej było dziecinnie łatwe.

- Jason... - zawołała Anita.

- Należy podchodzić bez przerwy - powtórzył Jason i zaczął się wspiąć. - Nie zamierzam już tracić czasu. Jeżeli nie chcecie iść, zaczekajcie tutaj na mnie. Dam radę. Wejść na tę górę. Bez obawy!

- To jest niebezpieczne - uprzedził go Rick.

- Nie aż tak, jak skok nad przepaścią. I nie tak, jak ominięcie kaskady.

-Jason... plecaki są ciężkie.

- To zostawcie je na dole i podchodźmy bez nich.

- A twój?

- Ja swojego nie zostawię. Mam przecież w środku złote monety.

Po chwili wahania zaczęli podchodzić, wszyscy troje.

Jason szedł jako pierwszy. Wkładał ręce w wyźłobienia i podciągał się w górę, spokojnie, jakby szedł po drabinie. Żebrami ocierał się o skałę.

Anita, pełna wątpliwości, szła w środku. Jason ją zdenerwował. Zrobił się zuchwały i arogancki! Im wyżej jednak podchodziła, tym bardziej się przekonywała, że to podciąganie nie było trudne. Wystarczyło przestrzegać prostej zasady: nigdy nie spoglądać w dół. Za nic na świecie.

Anita nie spoglądała w dół. Nie spoglądała też w górę.

Patrzyła tylko na skałę przed sobą, białą i porowatą.

Rick zamykał pochód.

Jego silne ramiona łatwo dźwigały ciało coraz wyżej, a mocne dłonie zapewniały mu mocny chwyt. Za każdym razem, kiedy Anita zwalniała, mówił jej:

- Nie patrz w dół.
- Już prawie jesteśmy.
- Już niewiele brakuje.

Wspinali się wytrwale. Mieli ciepłe słońce na karku i słyszeli szum rzeki, który towarzyszył im jak pieśń.

Byli jak trzy nietoperze zaczepione w powietrzu.

Anita postanowiła się zatrzymać, żeby nabrać tchu, ale natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd.

W jednej chwili poczuła ciężkie nogi i miała wrażenie, że coś ją ściąga do tyłu, jakby miała ciężarek przyczepiony do pleców.

- Wszystko w porządku? - czujnie zapytał Rick, stojący poniżej.

Anita zamknęła oczy. Z twarzą wciśniętą w białą ścianę i stopami wbitymi w skałę, rozluźniła najpierw jedno ramię, a potem drugie. Mięśnie miała zdrętwiałe z wysiłku, a oba kolana paliły ją, tak były pocierane.

- Śmiało! - zawołał do niej Jason z góry. - Mamy już za sobą więcej niż połowę drogi! I prawdopodobnie to zdanie ją zablokowało. Anita wyobraziła sobie siebie więcej niż w połowie drogi, w ścianie prowadzącej na szczyt, który widziała z dołu i poczuła nagle, gwałtowny zawrót głowy. Poruszyła stopami w wyżłobieniu, ale nie dała rady ich wydostać ani unieść.

- Anita, dasz radę? - spytał ją Rick.

„Nie” - pomyślała dziewczynka. „Nie dam rady, całkiem nie dam rady. I nogi odmawiają mi posłuszeństwa”.

- Anita?

Anita przyłgnęła jeszcze bardziej do skały.

Aż dotąd wszystko szło dobrze.

Nie mogła się teraz zatrzymać.

Ale nie dawała rady iść.

-Jason, zawróć! - krzyknął w górę Rick. - Anita ma problem!

. _wspinaczka_ ,

W jednej chwili poczuła ciężkie nogi i miała wrażenie, że coś ją ściąga do tyłu, jakby miała ciężarek przyczepiony do pleców.

- Wszystko w porządku? - czujnie zapytał Rick, stojący poniżej.

Anita zamknęła oczy. Z twarzą wciśniętą w białą ścianę i stopami wbitymi w skałę, rozluźniła najpierw jedno ramię, a potem drugie. Mięśnie miała zdrętwiałe z wysiłku, a oba kolana paliły ją, tak były pocierane.

- Śmiało! - zawołał do niej Jason z góry. - Mamy już za sobą więcej niż połowę drogi! I prawdopodobnie to zdanie ją zablokowało. Anita wyobraziła sobie siebie więcej niż w połowie drogi, w ścianie prowadzącej na szczyt, który widziała z dołu i poczuła nagle-gwałtowny zawrót głowy. Poruszyła stopami w wyżłobieniu, ale nie dała rady ich wydostać ani unieść.

- Anita, dasz radę? - spytał ją Rick.

„Nie” - pomyślała dziewczynka. „Nie dam rady, całkiem nie dam rady. I nogi odmawiają mi posłuszeństwa”.

- Anita?

Anita przyłgnęła jeszcze bardziej do skały.

Aż dotąd wszystko szło dobrze.

Nie mogła się teraz zatrzymać.

Ale nie dawała rady iść.

- Jason, zawróć! - krzyknął w górę Rick. - Anita ma problem!

- Nie, żaden problem. Wszystko w porządku - odpowiedziała Anita. - Daj mi tylko troszkę czasu. Zaraz się pozbieram.

Pisk ptaka, który przeleciał tuż koło nich, zmusił ją do otwarcia oczu. Czarna plama w powietrzu, dwa skrzydła kruka załopotały zaledwie kilka centymetrów od jej włosów. Anita spojrzała na ptaka.

I spojrzała w dół.

Rick oparł dłoń na jej kostce.

- Spokojnie - powiedział. - To nic. Musisz tylko dalej podchodzić, jak to robiłaś dotychczas.

Ale dziewczyna nie odpowiedziała. Na widok wysokości, na jakiej się znalazła, całkiem zeszywniała.

-Nie... dam... rady... - wyszeptwała. - Nie mogę już podchodzić.

- Po jednym kroku, spokojnie - nalegał Rick.

Czerwone słońce zachodziło za postrzępiony profil gór, malując chmury na kolor liliowy.

- Nie jestem w stanie, Rick...

- Przeciwnie, musisz się ruszyć.

Dziewczyna poczuła, że łzy napływają jej do oczu z rozpaczą. - Nie dam rady...

- Przeciwnie, możesz to zrobić. Dotarliśmy aż tu. Oddychaj. Spokojnie - przekonywał ją Rick. - Musisz tylko

WSPINACZKA

zachować spokój. Możemy jeszcze poczekać. Możemy podejść wyżej. Albo zejść, jeśli chcesz.

Anita pokręciła głową, czując się jak kompletna idiotka. Rick był uprzejmy, troskliwy, uważny. Nie robił nic bez zastanowienia. Nie upajał się własnymi sukcesami. Ani nie podnosił pięści ku niebu jak zwycięski gladiator, który zabił przeciwnika. Rick był solidny. Był jak skała.

A ona... ona była jak piasek, który się rozsypuje.

Dlaczego nie została w Wenecji przy odrabianiu lekcji w swoim domu z Miolim na kolanach? Mioli, który wspinał się po pergoli i przepadał w pracowni na poddaszu.

Jej kot nie odczuwał lęku wysokości. Wspinał się żwawo, nigdy nie spoglądając w dół. Kot.

Oto, jak powinna postąpić. Powinna postąpić jak Mioli.

Podchodzić w górę, nie myśląc o niczym.

- Jestem kotką - powiedziała.

- Tak - zgodził się Rick, tuż pod nią. - Właśnie tak! Jesteś kotką.

Anita uwolniła rękę ze szczeliny, w której się zablokowała. Wyciągnęła ją i poszukała oparcia powyżej.

- O tak, wspaniale!

- Kotka!

Anita dosięgnęła następnej szczeliny i podciągnęła się. Jej ciało było takie ciężkie, potwornie ciężkie. Anita była ogromnym i ciężkim kotem. Kotem niezdarnym i pozbawionym wdzięku.

Ale kotem, który nie znał lęku wysokości.

Z zamkniętymi oczami powtórzyła ruch.

I wspięła się wyżej. I jeszcze wyżej.

Potem poczuła uścisk.

Rozpoznała ręce i ramiona Jasona, który ją podciągał. Opadła bezwładnie w jego ramiona i pozwoliła, żeby ją położył na ziemi, pod drzewem.

Przeturlała się na bok, jak to się robi w łóżku, kiedy nie chce się rano wstać.

- O mamó... - szepnęła. - O mamó.

Jason przyklęknął obok niej. Anita spojrzała mu w oczy i przez dłuższą chwilę widziała to samo spojrzenie, co wtedy, przy pocałunku. Potem zobaczyła wychylającą się z pustki głowę Ricka, który podciągnął się ostatnim ruchem, i chwila umknęła.

Anita uśmiechnęła się do niego, pełna wdzięczności.

- Hej! Udało się! - wykrzyknął chłopiec o rudych włosach, rzucając na ziemię plecaki i podchodząc do niej.

Anita uściskała go z wdzięcznością, trzymając policzek przy policzku dopóki nie poczuła, że się rozgrzał.

- Nigdy bym tego nie dokonała bez ciebie, dzięki.

Solidny, silny, wyrozumiały Rick.

-Byłaś fantastyczna - pochwalił ją, speszony nieco tym uściskiem i baczny spojrzeniem Jasona, który kilka kroków obok obserwował ich w milczeniu.

Rozdział 23

ET IN ARCADIA EGO

Niebo zaczęło grzmieć, zwiastując burzę w oddali. Trójka wędrowców nadal siedziała pod drzewami i upajała się zachodem słońca oraz wypoczynkiem. Kiedy niebo zaczęło ciemnieć, a horyzont przecinały gwałtowne błyski fioletowych piorunów, Jason dźwignął się z miejsca. Miał zaciśnięte usta, jakby musiał coś zatrzymać w gardle. Bez słowa wsunął się w gęstwinę lasu.

Rick z Anitą poszli za nim. Znaleźli kamienistą ścieżkę, biegnącą wśród krzewów i gęstej trawy. Las dokoła pobrzmiwał nawoływaniem, odgłosami kroków małych zwierząt i szelestem poruszanych gałęzi.

- Mam dreszcze... - powiedziała Anita po paru minutach wolnego marszu. - A ty nie?

Rick wpatrywał się w plecy Jasona, który szedł przed nimi.

- Ja też. I odnoszę wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.

Jason przystanął. Zobaczył, jak coś poruszyło się między drzewami.

- Co się dzieje?

- Nie wiem.

Ścieżka rozszerzyła się i doprowadziła ich do porośniętego roślinnością gładkiego prostopadłościanu, podobnego do piedestału pomnika. Powyginane korzenie przekrzywiły go na bok, a gęste pnącza bluszczu prawie w całości przysłoniły. Jason odsunął ręką bluszcz i odsłonił napis:

ET IN ARCADIA EGO

W jednej chwili wszyscy troje przypomnieli sobie, że jest to miejsce przedstawione w książce Morice'a Moreau, na ilustracji, gdzie stoją trzy osoby w lesie obok jakiejś niskiej kamiennej budowli. Podpis pod ilustracją brzmiał właśnie tak: Et in Arcadia ego.

-I ja jestem w Arkadii... - szepnął Jason, dotykając liter wrytych w kamieniu. Spróbował obejść kamień dokoła, ale bujna roślinność uniemożliwiła mu to. Wspiął się jednak na niego, by spojrzeć z góry.

- Co widzisz? - spytał go Rick z ziemi.

Jason stanął na palcach w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Wskazał drogę, która biegła poniżej, i powiedział:

- Tam w dole... jest miasto.

Las zaczął się przersedzać, ustępując miejsca pojedynczym drzewom i zielonym polanom oraz ukazując fragmenty nieba w kolorze szarym i płomiennie czerwonym. Spośród

roślinności sterczały ruiny starych kolumn obrosnięte pnączami bluszczu. Fronton świątyni, oparty na czterech rowkowanych kolumnach. Posąg kobiety na piedestale bez podpisu. Bardziej w głębi spiczaste budynki, a w nich okna, z których zwieszały się obficie kwiaty. Kościół z wysoką dzwonnica, z której zwisały jakieś pnącza pokryte kwiatami. Wieża czy obserwatorium astronomiczne zatopione w zieleni. Drogi, ulice, zarośnięte trawą ścieżki i drzewa wyrastające z wnętrza domów.

Jason, Anita i Rick krążyli po starym opuszczonym miasteczku częściowo zarośniętym roślinnością. Gałęzie drzew sterczały z poddaszy średniowiecznych domów. Korzenie stuletnich drzew owinięły się dokoła mis z fontannami bez wody. Miękki ciemnozielony mech porósł miejsca ocienione, a wielkie zielone łąki usiane malutkimi białymi kwiatkami zastąpiły dawne place.

Miasteczko, które ich otaczało, wypełniały budynki z różnych epok i stylów i wydawało się, że jedynymi jego

mieszkańcami są zwierzęta: liczne ptaki pobudowały sobie na dachach gniazda, wprost na wygasłych kominach. Pokolenia gryzoni zniszczyły więźby dachowe większych domów, które przechyliły się zrujnowane na bok, jak budowle z zapalek.

- Oto Kraj, który umiera - odezwała się cicho Anita, przesuwając pędy pnącza zwisającego z ramienia posągu.

- Miejsce całkowicie opuszczone... - zauważył Jason, kręcąc się między domami z zamkniętymi okiennicami.

Przed nim poderwała się do lotu chmara ptaków o żółtym i zielonym upierzeniu. Łopot skrzydeł wystraszył ich.

- Do licha! - krzyknęła Anita.

Stali naprzeciwko rzymskiego teatru porośniętego krzakami, za teatrem znajdowały się dwa wspaniałe budynki, wyglądające na renesansowe, i barokowa fontanna obrosnięta żółtym mchem, z której kapą jeszcze woda. A dalej, inne domy, po części w ruinie, porośnięte drzewami, kwiatami i liśćmi.

Wyglądało to tak, jakby przez tysiące lat różni budowniczy i architekci znajdowali schronienie w tym lesie na szczycie góry i pozostawiali tu dzieła własnych rąk. Całkowite pomieszanie linii i stylów.

Z nadejściem wieczoru głosy ptaków pomału ucichły, a zwierzęta zamieszkujące opuszczone domy kryły się na widok przybyłych.

- Chłopcy? - zawołała z obawą Anita, chwytając Jasona za ramię.

- Co takiego?

- Widziałam coś dużego, jakby postać kobiety poruszającą się po tej stronie - wskazała ręką.

- Jest tu ktoś? - krzyknął Rick, podchodząc do omszałej fontanny.

Wyciągnął rękę, żeby dotknąć wody. Była zimna.

Zwilżył sobie usta.

- Czy jest tu ktoś? - powtórzył pytanie Rick.

Kwiaty, łąki. Domy zwalone na sąsiednie domy. Krokwie, na których wyrosły kolonie kolorowych grzybów. Ruiny, kolumny, aleja posągów.

- Może wyszła stąd? - zapytał Rick, wskazując aleję.

- Poczekajcie - powiedziała Anita. - Zrobimy próbę.

Usiadła na ziemi i wyciągnęła z plecaka zeszyt Morice^ Moreau. Otworzyła go pospiesznie, szukając rameczki z uciekającą kobietą.

Ale kobiety w rameczce nie było.

-Otwórz swój zeszyt! - krzyknęła Anita, płosząc drobne zwierzęta. - Słyszysz mnie? Jestem tutaj! Otwórz swój zeszyt!

Jason i Rick rozejrzeli się dokoła. Mrok nad miasteczkiem gęstniał.

- Jestem tutaj! - krzyczała Anita. - Czy mnie słyszysz? Odezwij się do mnie!

Dziewczyna zamknęła i ponownie otworzyła swój egzemplarz zeszytu.

I w rameczce ukazała się kobieta.

Anita uśmiechnęła się na jej widok. Oparła dłoń o rysunek i powiedziała do niej:

- Przyjechałam, widzisz? Jestem tu, u ciebie.
- Słyszałam cię.

Jason nastawił uszu. Jakiś szelest? Jakiś głos? Skąd? Ścisnął rękę Ricka i dał mu znak, by mu dopomógł ustalić miejsce, skąd dochodził dźwięk.

- Nie jestem sama - powiedziała Anita. - Jesteśmy we trójkę. Ja i dwaj moi przyjaciele. Przybyliśmy ci pomóc.

- Mnie pomóc? Od lat nikt tu już nie przychodzi.

Jason szepnął jakieś słowo, a Rick mu przytaknął, dając znak oczami. On także teraz coś usłyszał. Ruszyli w dwie przeciwne strony, czujnie nasłuchując najmniejszego dźwięku. Dali znak Anicie, żeby nie przestawała rozmawiać. A ona tylko kiwnęła głową.

- A my, jak widzisz, przybyliśmy.
- Nie widzę was.
- A my nie widzimy ciebie. Gdzie jesteś?
- Ukrywam się.

Jason podszedł do wąskiego i wysokiego domu, podczas gdy Rick po przeciwnej stronie zaczął obchodzić kolumnadę.

-Ja się nie ukrywam. Ja jestem na placu z fontanną - powiedziała Anita. - Siedzę na ziemi i mówię do ciebie. Jeśli zechcesz przyjść, by mnie poznać, jestem tu. Nazywam się Anita Bloom.

- Jak znaleźliście drogę?
- Mieliśmy dobry przewodnik: książeczkę Morice^ Moreau.
- Ach, Morice - westchnęła lekko kobieta z papierowej stronicy.

Jason opuścił wysoki i wąski dom, kierując się ku trzypiętrowemu pałacykowi po drugiej stronie placu. Rick tymczasem nadal kręcił się ostrożnie wśród kolumn.

- Poznałaś Morice'a?
- Tak - odparła kobieta z książki. - To był jeden z ostatnich, jacy tu dotarli. Ale upłynęło tyle lat od tej pory. Tyle lat. Obiecał mi, że powróci. I ja... czekałam na niego. Ale...
- Nie wrócił.
- Nie.

- A od ilu lat czekasz na niego?

- Od dziesięciu, stu, tysiąca? Jakie znaczenie ma czas, kiedy się jest samemu?

Jason teraz był już pewien, że ją usłyszał. Głos był blisko. Bardzo blisko. Podniósł wzrok, żeby zrozumieć, czy dochodzi ze środka budynku czy też z... zewnątrz.

- Wiesz co? - powiedziała Anita. - Nie znam jeszcze twego imienia.

Na rysunku było cicho przez chwilę, a potem padła odpowiedź.

- Ja się już nie nazywam. Nazywaj mnie Ostatnia, jeśli chcesz.

Anita na moment oderwała palec od karty.

- Ostatnia z kogo?

Kobieta roześmiała się tak głośno, że Anita usłyszała ją także spoza książki.

- Zadajesz dużo pytań, Anito Bloom. Dużo pytań!

Także Jason usłyszał śmiech, donośny i jasny. Pobiegł za pałacyk, który właśnie mijał, i...

-Ty mnie oszukujesz - powiedziała Ostatnia z ra-meczki w książce.

- Nic podobnego!

Obraz Ostatniej znikł nagle ze strony.

- Ostatnia! - krzyknęła Anita.

Na tyłach pałacyku był ogród z polnymi kwiatami aż po kolana. Kiedy Jason wyskoczył zza muru, znalazł się twarzą w twarz z kobietą.

Spotkanie było tak niespodziewane, że oboje znieruchomieli. Jason trzymał ręce podniesione w górę. Ostatnia miała na sobie błękitną tunikę bez rękawów. Miała króciutkie włosy, drobne uszy, palce dłoni bardzo długie.

Była bosa i trzymała w ręku książkę, całkiem identyczną jak zeszyt Morice'a Moreau.

Jason otworzył usta.

Kobieta miała czarne oczy o przepastnym spojrzeniu i prosty cienki nos.

- Ja... - zaczął Jason.

To był zaledwie moment. Tajemnicza kobieta odwróciła się na pięcie i ruchem spłoszonej sarny znikła w gąszczu drzew, jakby nigdy nie istniała.

Jason zamrugał oczami. Czy naprawdę ją widział? Czy też była to tylko zjawą?

Skóra tej kobiety wydała mu się gładka jak marmur na posągu i jak marmur ponadczasowa. Ile mogła mieć lat? Dwadzieścia? Trzydzieści? Sto?

Anita podbiegła do Jasona.

- Uciekła w tę stronę - powiedział.

I Anita pomknęła we wskazanym kierunku.

Dziewczyna przecięła ukwieconą łąkę i skierowała się w stronę lasu. Zatrzymała się tam, gdzie listowie było coraz gęstsze, i uniosła ręce nad głowę.

- To ja, słyszysz mnie? Ostatnia? Czy widzisz mnie? To ja, Anita Bloom! Nie' oszukuje cię! Spójrz na mnie! Jestem tylko dziewczyną! A to... - i podniosła w górę książeczkę. - To jest mój zeszyt!

Nic się nie wydarzyło.

- Ostatnia! - zawołała znowu Anita. - Proszę cię! Nie uciekaj! Jesteśmy twoimi przyjaciółmi! Przybyliśmy tu tylko po to, żeby ci pomóc! Odbyliśmy bardzo długą podróż. Dla ciebie! Tylko dla ciebie!

Listowie przed Anitą poruszyło się niemal niezauważalnie. Odgłos łamanej gałęzi. Inny odgłos, bardziej szeleszczący: ciało, które się przedziera przez gęstwiny.

Anita opuściła wolno ramiona.

-Ostatnia?...

Najpierw zobaczyła jedną rękę, potem drugą, jak wynurzają się spoza liści. W końcu wychyliła się twarz jakby z marmuru. Ostatnia pozostała niepewnie na granicy listowia. Patrząc na Anitę, przechyliła głowę w jedną stronę, a potem w drugą, jak zaciekawione zwierzątko.

Anita uśmiechnęła się.

- Przyjaciele - powiedziała.

Potem, nie czekając na jej reakcję, usiadła na trawie.

I pozwoliła się sobie przyglądać.

Rozdział 24

PAŃSTWO BLOOM

- Wytłumacz mi... - powiedziała mama Anity do telefonu. Chodziła ze słuchawką w rękę i rozmawiała. - Mówisz, że zgubiłeś naszą córkę?

- Nie zgubiłem jej! - krzyknął ojciec Anity, waląc ręką w blat swego londyńskiego biurka.

- Nie podnoś na mnie głosu. To nic nie da.

- Powtarzam ci, że nie zgubiłem naszej córki. Odwiozłem ją na lotnisko. Na czas.

- Odwiozłeś ją trzy godziny przed czasem.
- Odwiozłem ją o tej godzinie, o której chciała, żebym ją odwiózł!
- Nie mów ze mną takim tonem!
- A ty słuchaj, co do ciebie mówię!
- Nie, to ty posłuchaj! Robotnicy podrzucili pięćdziesiąt litrów werniksu pod zły adres i zmarnowałam całe przedpołudnie, żeby go odzyskać. Mało tego! Byłam tak wytrącona z równowagi, że zostawiłam klucze od Domu Bazgrołów przyjacielowi Anity, który domu nie zamknął i zniknął nie wiadomo gdzie...

- Posłuchaj...
 - ...i wlał tam jakiś wandal, i wylał wiadro białego werniksu na ścianę przy schodach, uszkadzając freski. A teraz jeszcze ty mi mówisz, że nasza córka zginęła? To straszne! Zupełnie nie wiem, co mam robić!

- Nie zginęła! Poleciała do Tuluzy!
- Ale dlaczego?
- Ponieważ pomyliła samolot!
- Powinieneś podejść z nią aż do stanowiska odlotów! Powinieneś się upewnić, że wsiadła do samolotu do Wenecji! A nie do Tuluzy!

Pan Bloom parsknął.

- Ale jak to możliwe, przy tych wszystkich kontrolach, jakie dziś robią, żeby dziewczynka z biletem do Wenecji wsiadła w samolot do Tuluzy?

Pani Bloom przeskoczyła białą czerwoną taśmą, którymi opasany został Dom Bazgrołów.

- Nie wiem!
- Co robisz?
- Przeskakuję bariery! Znikam stąd, zanim właścicielowi domu przyjdzie do głowy, że to moja wina! Wyobrażasz sobie? Wandale! Wandale, którzy nie mają nic lepszego do roboty, niż niszczyć freski Moreau.

- Ten typ przynosi pecha.
- Daj spokój z tymi głupotami.

Pan Bloom odłożył słuchawkę telefonu stacjonarnego, przełączył się na komórkę i skierował się szybko do wyjścia z biura.

- Słyszysz mnie? - zawołał. - Jadę do Wenecji.
- To nic nie da. Leć raczej do Tuluzy po naszą córkę.
- Nie odpowiada na komórkę?
- Nie. Przesłała mi wiadomość, że to za drogo. Mówi, żeby przesyłać SMS-y. I że wszystko w porządku i że wsiądzie w najbliższy samolot do Wenecji. Mówi też, żeby się nie martwić, że ma dosyć pieniędzy...

- Ale ty się martwisz - powiedział za żonę. - I ja też - zakończył.

I wyszedł z banku.

-Jest jeszcze coś ważnego... - powiedziała szeptem mama Anity.

- Co takiego?
- Kiedy kazałam przenieść werniks, zadzwoniłam do pani Strambi.
- Nie znam żadnej pani Strambi.
- To jest mama przyjaciela Anity.

- Tego, któremu zostawiłaś dziś klucze, żeby zamknął dom?
- Tak. Nie było go dziś w szkole. I nie wrócił do domu na obiad.

Pan Bloom poczuł, jak coś zimnego wciska mu się między zębra.

- Co takiego...?
- Rozumiesz...

Pan Bloom próbował przypomnieć sobie, ile to lat dokładnie ma jego córka.

- Czy to możliwe, żeby...?

-Uciekli razem? - Jego żona histerycznie się roześmiała. - Czego się spodziewasz, że co ci odpowiem?

- Przyjeżdżam natychmiast - oznajmił pan Bloom.

Zamknął gwałtownie komórkę i ruszył żwawo

po chodniku. Początkowo nie zwrócił uwagi na mężczyznę, który szedł kilka kroków za nim. Potem jakaś ręka, silna i potężna, spoczęła na jego ramieniu. Pan Bloom podniósł wzrok i zobaczył przed sobą brodacza o karku potężnym jak u byka, w wytłuszczonym ubraniu zabrudzonym sadzą.

- Proszę mi wybaczyć, panie Bloom - odezwał się nieznajomy - ale chyba wiem, gdzie znajduje się pańska córka.

- A kim pan jest?

- Musi mi pan tylko zrobić pewną grzeczność i za żadną cenę nie wracać do domu. Niebo nad nimi zagrzmiało.

- Widzi pan? Nadchodzi burza. A kiedy się zbliża burza, lepiej zachować spokój.

- Co pan wygaduje?

-Mówię, że oni wiedzą, kim pan jest i gdzie pan mieszka. - Puścił do niego oko. - Ale na szczęście my wiemy, kim są oni i gdzie mieszkają. Jesteśmy kwita, rozumie pan? Pod warunkiem że pan teraz nie wróci do domu. Czekają tam na pana.

Panu Bloom serce podeszło do gardła.

- Mógłbym wiedzieć, kim pan jest?

- Nazywam się Black Wulkan, panie Bloom. Miło mi pana poznać.

Rozdział 25

ROZZARZONE WĘGLE

Mały ogień drżał na środku placu w Arkadii, wyrzucając w górę rozżarzone drobinki. Cztery postacie siedziały wokół ogniska, a na ich twarzach migotały na zmianę cienie i czerwone refleksy.

-Od dawna z nikim pani nie rozmawiała, prawda? - spytała Anita kobiety, która rozpałała ogień.

Ostatnia przytaknęła.

-I dlatego nie ufała pani nam?

Kobieta pokręciła przecząco głową. Obrywała liście z kolb i podawała im kukurydzę. - To nie chodzi o zaufanie - odparła. - Myślę, że zapomniałam, jak się rozmawia z ludźmi.

Jedna kolba przeleciała nad ogniem, trafiając prosto między kolana Jasona.

- O! Dziękuję! - uradował się chłopiec.

- Gdzie odeszli wszyscy inni? - spytała Anita.

Ostatnia nie od razu odpowiedziała. Pochmurna, dumiała nad czymś, wpatrując się w płomienie.

- Wielu odeszło tą samą drogą, którą wy tutaj przyszliście. Inni... inni spróbowali innej drogi, ale...

-Ale...?

- Ale się im nie udało. I nie wrócili.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Kobieta pochmurniała jeszcze bardziej.

- Nie mam wielkiej ochoty o tym mówić. Nie teraz.

- To dziwne, że to miejsce nazywa się Krajem, który umiera... - powiedziała Anita. - A jednocześnie jest miejscem, w którym nie występują choroby.

Kobieta przytaknęła.

- To prawda. Ale może choroby nie istnieją, ponieważ nie ma już nikogo, kto mógłby zachorować?

- Czy drzewo w lesie hałasuje, kiedy pada przez nikogo nie usłyszane? - zapytał Jason, podnosząc swoją kolbę. Po czym, ponieważ Rick spojrzał na niego z dziwną miną, wyjaśnił: - To przecież to samo, nie? Zacytowałem tylko powiedzenie zen.

Ostatnia przez chwilę milczała. Potem podjęła: - To miasteczko niszczy się powoli z powodu wody. Skała,

rozżarzone węgle

na której zostało zbudowane, wykrusza się każdego dnia po trochu... i rozpada na kawałki.

Oto powód, dla którego tak wielu stąd odeszło. Inni się zestarzelili i pomarli tu albo... albo wybrali inną drogę... i zostali uwięzieni w środku.

- Uwięzieni w środku?

- Pokażę to wam, obiecuję. Ale jeszcze nie teraz, jeśli się zgodzicie.

- Och, jasne... - skłamał Jason, którego aż rozsadzała ciekawość. - Możemy poczekać.

-Morice Moreau był jednym z ostatnich podróżników, którzy tu dotarli. Pozostał tu czas jakiś, zrobił swoje rysunki... i... zadał mi wiele pytań, na które nie umiałam odpowiedzieć. Potem zostawił mi swój zeszyt, mówiąc mi, żeby go szukać na tych stronach, że mi pomoże... dokończyć...

I znowu wspomnienia Ostatniej jak gdyby utknęły na czymś, czego wołała nie poruszać.

Siedzieli w milczeniu, pogryzając kukurydzę.

- Mogę cię o coś zapytać? - odezwała się po dłuższej chwili Anita.

- Oczywiście.

- Co robiłam, kiedy widziałas mnie w rameczce w zeszytce? - szepnęła dziewczyna. - Ja ciebie widziałam biegnącą. Widziałam kobietę, która ucieka.

Ostatnia oparła czoło na rękach i lekko się uśmiechnęła zanim odpowiedziała.

-To dziwne... W rzeczywistości ja nigdy nie uciekałam. Co więcej, może byłam jedyną osobą, która tego nie zrobiła. - Odgarnęła włosy i dodała: - W każdym razie widziałam cię, jak mi się przyglądasz... a w ręku trzymałaś klucz.

- Klucz?

-Tak.

- Moment... - wtrącił się głośno Jason.

Postawił plecak przed sobą i otworzył go. Wyciągnął klucz z główką wyciętą w kształcie dziecięcia i pokazał go Ostatniej.

- Taki klucz jak ten? - zapytał.

Ostatnia wydała się zaintrygowana tym kluczem, ale pokręciła przecząco głową.

- Był podobny, ale nie taki.

- Jak ten? - spytał też Rick, pokazując jej swój klucz z główką w kształcie jeżozwierzka.

Kobieta jeszcze raz pokręciła przecząco głową. Jej oczy lśniły, ale nic nie mówiła.

- Gdzie znaleźliście te klucze? - spytała po chwili.

- Otrzymał je pocztą ktoś, kto je miał przed nami.

- Słyszałaś kiedyś nazwisko Ulyssesa Moore'a?

Ostatnia pokręciła wolno głową.

- A o Wrotach Czasu? - zapytał Rick.

.._rozżarzone węgle_.

- Co powiedziałaś? - zapytała kobieta.

- Wrota Czasu. Czy słyszałaś może kiedyś o Wrotach Czasu?

Ostatnia spojrzała na nich zdenerwowana.

- Może... nadszedł moment, żeby wam pokazać to, co wam obiecałam. - Wstała. -
Chodźcie ze mną.

Bez zbędnych słów ruszyła w stronę łąki. Jej gołe stopy poruszały się po trawie lekko, jakby nic nie ważyły. Dzieci poszły za nią. Nad ich głowami otworzyło się granatowe niebo usiane mnóstwem gwiazd. Cała czwórka wędrowała szybko pośród cieni budynków, drzew i kolumn oplecionych pnączami. Nikt nie śmiał się odezwać.

Zatrzymali się przed dziwnym okrągłym budynkiem, który przypominał stare baptysterium przy kościele albo grzbiet żółwia. Nad wejściem była strzałka, trudna do rozszyfrowania w świetle gwiazd.

-To tu, wewnątrz - wyjaśniła Ostatnia, wskazując wejście.

- Co jest tu wewnątrz? - zapytał cicho Jason. Ostatnia spuściła głowę.

- Odeszli tędy - odpowiedziała. -1 nigdy nie wrócili. Anita z trudem przełknęła ślinę. Nie podobało jej się

to dziwne miejsce. I nie podobało się jej wchodzenie tam po nocy.

Jason poszukał wzrokiem Ricka, a kiedy przyjaciel o rudych włosach przytaknął, podszedł do progu tego dziwnego budynku.

- Możemy wejść? - zapytał.

-Ale ja za wami nie pójdę - uprzedziła Ostatnia z dziwnym błyskiem w oku.

- Dlaczego?

- Boję się.

- Ale... - Jason wskazał próg budynku. - Co tam jest w środku?

- Idź sam i zobacz.

Anicie wydało się, że usłyszała jakiś hałas. Obróciła się

i w oddali zobaczyła rozżarzone węgle ogniska, przy którym jedli.

Zdezorientowana, zamrugała oczami. Wydało się jej, że dostrzegła dwa cienie przemykające po łące obok żarzących się węgli.

Rozdział 26

KLUCZ Z KRUKIEM

Jason z Rickiem przekroczyli próg.

I znaleźli się w czymś, co skojarzyło im się z opuszczonym kościołem. Kamienna posadzka była popękana i dość nierówna, w sklepieniu znajdowały się cztery okna, z których do wnętrza wpadały cztery stożki srebrnego światła.

Pomieszczenie było całkowicie nagie, a kamienne ściany pozbawione jakichkolwiek zdobień.

Pod ścianą leżał stos starych i całkiem już niepotrzebnych żelaznych narzędzi: kilofy, widły, jakieś żerdzie, haki, brzeszczoty, a wszystko nadżarte przez rdzę. Jedyne akcent architektoniczny w tym pomieszczeniu stanowiły drzwi w kolorze kości słoniowej, które wyglądały jakby całe były zrobione z kości.

Były misternie ozdobione skomplikowanym rysunkiem, który składał się z kółek połączonych ze sobą liniami. Rysunek był wyryty w kości grubym punktakiem na dużej części powierzchni wrót. Drzwi osadzone były na dwóch starych, solidnych zawiasach przymocowanych do kamiennej ściany. Miały masywny, niczym nie wyróżniający się żelazny zamek.

- Myślisz to samo, co i ja? - spytał Jason przyjaciela.

- Ja myślę, że to są... Wrota Czasu.

- Sądzisz, że to jedne z naszych wrót?

- Tak, coś w tym rodzaju, ale... - Zawahał się. - Jednak... nie wiem, Jason... Te mi się wydają... błędne.

Podchodząc bliżej, obaj chłopcy odnieśli dziwne wrażenie, że te drzwi zostały po prostu kiedyś... „zaczęte” i nigdy nie ukończone. Wyglądało na to, że to, co mieli przed sobą, było jedynie szkieletem Wrót Czasu, a nie drzwiami pełnymi.

Rozejrzeli się dokoła. Na ziemi wały się kawałki drewna oraz heble i inne narzędzia do obróbki i wygładzenia go. Jakby to wszystko pozostało tak porzucone od bardzo, bardzo dawna.

Posłyszeli jakiś hałas i zobaczyli, że Anita i Ostatnia zatrzymały się w progu i patrzyły na nich, jakby zastanawiały się, czy wejść.

klucz z krukiem_ .

- Wszystko w porządku? - spytała Anita. - Może jednak lepiej, żebyśmy stąd wyszli...

- Jeszcze moment - odpowiedzieli chłopcy jednocześnie, znów patrząc na wrota.

Jason oparł rękę na powierzchni w kolorze kości słoniowej, czując jej chłód. Badał rysunek. Każde z kół połączone z innymi linią było oznaczone literą albo symbolem, których jednak nie udało mu się odczytać.

-A jeśli to są miejsca połączone z Wrotami Czasu? - szepnął do Ricka. - Jedno koło, jedno miejsce. A linie... to przejścia, prowadzące do nich.

- Oznaczałoby to dziesięć miejsc - policzył Rick.

- Dziesięć - potwierdził Jason. Dotknął jednego na chybił trafił i powiedział: - To mogłoby być Kilmore Cove.

- Wenecja.

- Kraina Puntu.

- Ogrody księdza Gianniego.

Zatrzymali się. Nigdy nie byli w innych miejscach. Przynajmniej, jak dotąd.

Czy to możliwe? Wymienili spojrzenia i nadal przyglądali się drzwiom, próbując zrozumieć, jaki był sens tego rysunku.

Usłyszeli stłumione westchnienie i obrócili się. Anita patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami. Trzymała coś w ręku.

- Co się dzieje?

- Ostatnia właśnie mi coś dała - odparła dziewczyna. Kiedy podeszli do progu, Ostatnia znikła.

- Dokąd ona poszła? - spytał Jason.

- Nie wiem. Powiedziała, że coś jej się nie podoba.

- Co to znaczy?

- Nie wiem! - prawie wykrzyknęła Anita. - Usłyszałyśmy jakiś hałas... - Podniosła rękę, żeby pokazać im, co jej przekazała kobieta. - Powiedziała mi, że może ja powinnam otworzyć...

- Co otworzyć?

Anita ścisnęła w ręku klucz z główką w kształcie kruka. Gdzieś w oddali rozległ się huk pioruna. Dzieci popatrzyły na siebie.

- Nie wiem, czy dam radę... - szepnęła Anita. Klucz z krukiem przeszedł wolno z rąk Anity w ręce

Jasona i Ricka. Potem powrócił do dziewczyny.

- Co chcecie, żebym zrobiła?

- Spróbuj otworzyć te drzwi.

- A potem?

Rozdział 27

MISTRZ PIORUNÓW

Kędzierzawy ruszył żwawo z lasu w stronę łąki.

- Co widzisz? - wyjąkał blondyn idący za nim.

- Resztki ogniska i nic więcej.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, że tak.

Przemykali się od jednego budynku do drugiego, nie czyniąc hałasu. Potem, oparci o stary rozwalony mur naradzali się, co dalej.

- Widziałem ich czworo. Troje dzieciaków i jedna kobieta. Jedli.
- Kukurydzę.

W brzuchu kędzierzawego zaburczało.

- Nie wiedziałem, że lubisz kukurydzę.
- Ja też nie wiedziałem - potwierdził brat. - Ale po tym wszystkim, cośmy przeszli, po tym wodospadzie... i ostatniej wspinaczce... myślę, że mógłbym zjeść wszystko.
- Oczywiście, jeśli ci to postawią.
- I jeśli uda się nam zdecydować, co teraz robić.

Kędzierzawy walnął wściekle pięścią w komórkę, zanim ją wsunął do kieszeni.

- Dopiero co kupiona i już nie działa!
- To pewnie przez tę wodę.
- Nie wiem przez co. I nie obchodzi mnie to.

Brat się przechylił, żeby wyjrzeć za mur.

- Co robią?
- Nie wiem. Zostawili swoje plecaki i odeszli. Już ich nie widzę. Nawet... o, są! Poszli w stronę okrągłego budynku, tam.

Niebo znowu zagrzmiało.

- Nadchodzi burza - zauważył kędzierzawy.
- Dla nas dobrze - skomentował brat.
- Dlaczego?

Kędzierzawy zamachał parasolem, z którym się nigdy nie rozstawał.

- Dobra porcja piorunów mogłaby zadziałać na naszą korzyść, nie? Rozejrzyj się dokoła: wszędzie drzewa. Ogień by to chwycił w mgnieniu oka.
- Szkoda tylko, że w tym wszystkim jesteśmy i my.
- Możemy ustawić piorunochron na szczycie dzwonnicy. Potem znajdziemy sobie bezpieczne schronienie i...

-Buch!

- Właśnie: buch! Doktor Wojnicz byłby z nas dumny. Cokolwiek tu teraz jest, pozostanie po tym tylko garstka popiołu i nic więcej.
- O parę problemów mniej.
- To niedużo, ale za to pewne.

Bracia Nożyce posuwali się wzdłuż muru w poszukiwaniu innej kryjówki, z której mogliby lepiej widzieć dzieci i kobietę. Znaleźli zburzony budynek i weszli do niego.

- To dopiero niespodzianka... - szepnął kędzierzawy, kiedy oczy przyzwyczyły mu się do ciemności. - Spójrz tylko, ile porzuconych rzeczy.

W pomieszczeniu, w którym się schronili, były dziesiątki i dziesiątki przedmiotów: stare ubrania, biżuteria, naczynia.

- Ktoś musiał się diabelnie śpieszyć, żeby tyle tego zostawić, nie uważasz?

Wziął do ręki naszyjnik z pereł i przesunął go między palcami.

- Hej, co się dzieje?
- Co takiego?
- Nie słyszałeś hałasu?
- Nie wyda...

Przed nimi pojawiła się nagle Ostatnia.

Kędzierzawy ze zdumienia upuścił naszyjnik z pereł.

- A wy, co tu robicie? - krzyknęła kobieta poprzez huk pioruna.

Anita dała się poprowadzić Jasonowi i Rickowi aż do drzwi z kółkami. Zbliżyła klucz z krukami do zamka, wsunęła go i przekręciła.

Kliki odskoczyły drzwi, lekko się uchylając.

- O mamó... - szepnęła dziewczyna. - Otworzyły się.

Przez szparę w jasnych drzwiach można było zobaczyć najczarniejszy kawałek ciemności.

Tymczasem na domy Kraju, który umiera zaczął padać drobny deszcz. Padał miarowo i cicho, jakby szeptał, a po chwili mocniej. W oddali słyszało się grzmoty, które się ciągle przybliżały.

- Czy coś widzicie za tymi drzwiami? - zapytał Rick, przechylając się przez ramię Anity.

Nic. Ciemność. Wycinek ciemności.

- Proponuję je teraz zamknąć i otworzyć jutro - powiedziała Anita. - Kiedy będzie dzień.

BUM\ zagrzmiało. Piorun musiał uderzyć gdzieś w pobliżu. Błysk światła rozświetlił na moment całe pomieszczenie, a hałas był tak ogłuszający, że aż zagwizdało im w uszach.

Anita schroniła się w ramionach Jasona, który nadal wpatrywał się w ciemność za drzwiami z kółkami.

-To tylko burza... - powiedział chłopiec. - Daj mi rękę.

- Co chcesz zrobić?

Jason splótł palce z palcami Anity i po omacku podszedł do szpary w drzwiach z kółkami.

Odsunął je na tyle, żeby móc się precyzyjnie i zanurzył się powoli w studni ciemności, dając się jej stopniowo ogarnąć, całkiem jakby go pochłaniała płynna otchłań.

- Jason? Co widzisz? - spytała Anita.

- Nic - odpowiedział. Jego uścisk był silny i zdecydowany. - Ale jest tu przejście.

Pozwól mi zrobić jeszcze jeden krok.

- Jason... - wystraszyła się Anita. - Boję się...

Jason zrobił krok, potem jeszcze jeden.

Teraz zza drzwi sterczała tylko ręka ściskająca mocno rękę Anity. Rick chwycił szybko Anitę za drugą rękę i uśmiechnął się:

- Przyzwyczajam się trzymać was oboje.

- Jest woda - odezwał się Jason z ciemności. - Woda i... szum fal.

To było niemożliwe, żeby tu był szum fal. Znajdowali się na szczycie góry w sercu Pirenejów.

-I widzę też światła... jakby... pochodnie... - dodał Jason. - Tak, to są pochodnie. Dalekie pochodnie!

BUM!

Kolejny piorun, jeszcze bliższy niż poprzednio, chyba strzelił w środek miasteczka, w którym się znajdowali. Cała góra się zatrzęsała, a w powietrzu rozszedł się świeży zapach ozonu.

W momencie nagłego błysku światła, które rozświetliło każdy szczegół, Anita puściła rękę Jasona.

- Jason! - krzyknęła.

Zrobił się gwałtowny przeciąg, który zatrzęsła nagle drzwi z kółkami, jak wielką paszczę. Rick pociągnął gwałtownie Anitę do tyłu w obawie, aby drzwi nie zgmiotły jej ramienia.

- Otwórz je! Otwórz je szybko swoim kluczem! - nakazał.

Anita znowu przekręciła zamek i otworzyła drzwi.

Rick odetchnął z ulgą; obawiał się, że - jak wszystkie Wrota Czasu - nie będzie można ich otworzyć, dopóki nie powróci osoba, która przez nie weszła.

-Jas... - przerwał, kiedy zobaczył, że po drugiej stronie, za drzwiami, stoi jakaś postać.

Westchnienie ulgi i imię przyjaciela zamarły mu jednak na ustach.

Ponieważ postać po drugiej stronie drzwi miała co najmniej dwa metry wzrostu.

CDN.

SPIS ROZDZIAŁÓW

1.	Szkatułki przygody.....	5
2.	Gorąca czekolada.....	15
3.	Ucieczka z Londynu	21
4.	Cudowne lekarstwo	33
5.	We Francji.....	45
6.	W Arsenale.....	59
7.	Biblioteka.....	71
8.	Gospoda ze świeczkami.....	81
9.	Sezon małp.....	93
10.	Dziwna przewodniczka.....	99
11.	Wandal	107
12.	Granica wody.....	115
13.	Nieprzyjemne spotkanie.....	123
14.	Granica	135
15.	Częstotliwość zero.....	153
16.	W domu Kalipso	165
17.	Skok w przepaść.....	173
18.	Ucieczka z Wenecji.....	179
19.	Walizka Wojnicza.....	189
20.	Tajemna brama	195
21.	Plaża.....	201
22.	Wspinaczka.....	207
23.	Et in Arcadia ego.....	215
24.	Państwo Bloom	225
25.	Rozżarzone węgle.....	231
26.	Klucz z krukiem.....	237
27.	Mistrz piorunów.....	243
13.	Nieprzyjemne spotkanie.....	123
14.	Granica	135
15.	Częstotliwość zero.....	153
16.	W domu Kalipso	165
17.	Skok w przepaść.....	173
118.	Ucieczka z Wenecji.....	179
19.	Walizka Wojnicza.....	189
20.	Tajemna brama	195
21.	Plaża.....	201
22.	Wspinaczka.....	207
23.	Et in Arcadia ego.....	215
24.	Państwo Bloom	225
25.	Rozżarzone węgle.....	231
26.	Klucz z krukiem.....	237
27.	Mistrz piorunów.....	243